

Iwan Turgieniew – Stepowy Król Lir

Pewnego zimowego wieczoru zebraliśmy się w sześciu u dawnego uniwersyteckiego kolegi. Rozmowa zesłała na Szekspira – mówiliśmy o typach szekspirowskich, o tym, z jaką głębią i prawdziwością zostały one wydobyte z otchłani ludzkiej istoty. Podziwialiśmy zwłaszcza ich prawdę życiową, ich powszedniość; każdy z nas wymieniał po nazwisku tych Hamletów, tych Otellów, tych Falstaffów, a nawet tych Ryszardów III i Makbetów (tych ostatnich, co prawda na zasadzie prawdopodobieństwa), z jakimi wypadło mu się zetknąć.

– A ja, moi panowie – wykrzyknął nasz gospodarz, człowiek już niemłody – znałem niegdyś pewnego króla Lira!

– Jak to? – zapytaliśmy.

– A tak! Jeśli chcecie, to wam opowiem!

– Prosimy bardzo!

I nasz przyjaciel niezwłocznie rozpoczął swoją opowieść.

I

„Całe moje dzieciństwo – zaczął – i wczesną młodość, do chwili ukończenia piętnastu lat, spędziłem na wsi, w majątku mojej matki, bogatej obywatelki ziemskiej w ...ej guberni. Chyba najsilniejsze wrażenie w owych dawnych latach wywarła na mnie postać naszego najbliższego sąsiada, niejakiego Martyna Pietrowicza Charłowa. Zresztą to wrażenie, które tak silnie wryło się w moją pamięć, z wielkim trudem można było w niej zatrzeć: nikogo podobnego do Charłowa nigdy już potem nie spotkałem. Wyobraźcie sobie człowieka o wzroście olbrzyma! Na potężnym korpusie tkwiła, nieco bokiem, bez najmniejszego nawet śladu szyi, potworna głowa. Nad nią wzdymał się istny stóg splecionych, żółtosiwych włosów, wyrastających niemal że od nastroszonych brwi. Na szerokiej płaszczyźnie sinej, jakby obłupanej ze skóry twarzy sterczał potężny, szyszkowaty nos, dumnie połyskiwały szeroko rozstawione, maleńkie błękitne oczka – i otwierały się wargi, również maleńkie, ale krzywe, spękane, tej samej barwy co i reszta twarzy. Głos, który wydobywał się z tych ust, choć chrapliwy, był niezwykle silny i dźwięczny... Jego dźwięk przypominał szczęk belek żelaznych, wiezionych na furze po nierównym bruku – gdy Charłow mówił, zdawało się, że woła do kogoś przez szeroki wąwóz podczas silnego wiatru. Nie łatwo było orzec, co właściwie wyrażała twarz Charłowa, tak bardzo była szeroka... Nie można jej było ogarnąć jednym spojrzeniem! Ale twarz ta nie była nieprzyjemna – rysował się w niej nawet pewnego rodzaju majestat – wyglądało to dziwnie i niezwykle. Ręce miał Charłow niby dwie poduszki! A palce, a nogi! Pamiętam, że nie mogłem patrzeć bez uczucia pokornego lęku na

dwuarszynowe plecy Martyna Pietrowicza, na jego ramiona podobne do żaren młyńskich; szczególnie jednak niezwykle wydawały mi się jego uszy! Wyglądały zupełnie jak obarzanki — pełno w nich było esów-floresów!

Martyn Pietrowicz zimą i latem nosił kazakinę z zielonego sukna, przepasaną czerkieskim rzemieniem, i buty z grubej skóry; halsztuka nigdy na nim nie widziałem: zresztą wokół czego wiązałby go Martyn Pietrowicz? Dyszał przeciągle i ciężko jak byk, ale stąpał cicho. Można by pomyśleć, iż znalazłszy się w pokoju stale lękał się, że wszystko rozbije i postrąca, dlatego też przesuwiał się z miejsca na miejsce ostrożnie, raczej bokiem, zupełnie jakby się skradał. Silny był naprawdę jak Herkules i wskutek tego cieszył się w zaścianku wielkim poważaniem: lud nasz do dziś jeszcze czci legendarnych mocarzy. O Martynie Pietrowiczu powstały nawet legendy: opowiadano, że pewnego razu spotkał w lesie niedźwiedzia i omal go nie pokonał gołymi rękami, że zastawszy w swojej pasiece obcego chłopca-złodzieja przerzucił go wraz z wozem i koniem przez chruściany płot, itd. Sam Charłow nigdy nie przechwalał się swoją siłą. „Jeśli błogosławiona jest moja prawica — mawiał — to znaczy, że taka była wola boska!” Martyn Pietrowicz był dumny, ale nie ze swojej siły, lecz ze swojego rodu, ze swojej genealogii, ze swojego rozsądku.

— Nasz ród wywodzi się od *wszeda* (tak Martyn Pietrowicz wymawiał słowo Szwed), od *wszeda* Charlusa — twierdził — za panowania księcia Iwana Wasiljewicza Ciemnego (o widzicie państwo, jak to dawno!) przyjechał ten *wszed* Charlus do Rosji, ale nie chciał być czuchońskim hrabią — chciał być rosyjskim szlachcicem i zapisał się do złotej księgi. Oto skąd wzięliśmy się my, Charłowowie! I z tego też powodu wszyscy Charłowowie rodzą się blondynami o jasnych oczach i mlecznej cerze.

— Ależ Martynie Pietrowiczu — usiłowałem zaoponować — przecież Iwana Wasiljewicza Ciemnego w ogóle nigdy nie było, był tylko Iwan Wasiljewicz Groźny. Ciemnym przewano wielkiego księcia Wasilja Wasiljewicza.

— Pleciesz! — spokojnie odpowiadał Charłow — skoro ja mówię, to znaczy, że tak jest!

Pewnego razu moja matka chwaliła przy nim jego rzeczywiście niezwykłą bezinteresowność.

— Ach, Natalio Nikołajewno! — rzekł prawie z oburzeniem — też pani znalazła powód do pochwa! Nam, państwu, inaczej się nie godzi, żeby żaden cham, żaden chłop, żaden podwładny nie ośmielił się źle o nas pomyśleć! Ja — Charłow, ród swój, o, skąd wywodzę (wskazał palcem gdzieś bardzo wysoko nad sobą, prosto w sufit), i żebym honoru nie miał? Czy to możliwe?

Innym razem zachciało się jakiemuś przejezdnemu dostojnikowi, który gościł u mojej matki, zażartować z Martyna Pietrowicza. Ów zaczął znowu mówić o *wszedzie* Charlusie, który przybył do Rosji...

— Za króla Ćwiczka? — przerwał dostojnik.

— Nie, nie za króla Ćwiczka, lecz za wielkiego księcia Iwana Wasiljewicza Ciemnego.

— A ja sędzę — ciągnął dygnitarz — że ród pański jest o wiele bardziej starożytny i sięga nawet czasów przedpotopowych, gdy żyły jeszcze mastodonty i megaloterie.

Te naukowe terminy były zupełnie nie znane Martynowi Pietrowiczowi, ale zrozumiał, że dostojnik z niego szydzi.

— Możliwe — mruknął — że nasz ród rzeczywiście jest wielce starożytny. Opowiadają, że gdy mój praszczur przybył do Moskwy, mieszkał tam głupiec nie mniejszy niż wasza ekscelencja, a tacy głupcy rodzą się tylko raz na tysiąc lat.

Dostojnik był wściekły, a Charłow tylko odrzucił w tył głowę, wysunął podbródek, parsknął — i tyle go widziano. Po dwóch dniach znowu się zjawił. Matka moja zaczęła mu czynić wyrzuty. — To lekcja dla niego, łaskawa pani — przerwał jej Charłow — na drugi raz nie będzie taki wojowniczy, zapyta wpierw, z kim ma do czynienia. To jeszcze młokos, niech się uczy. — Dostojnik był prawie w tym samym wieku co Charłow, ale ten olbrzym przyzwyczał się uważać wszystkich za młodzików. Był bardzo pewny siebie i nie bał się nikogo. — Co mi kto może zrobić? Gdzie jest na świecie taki człowiek? — pytał Charłow i nagle zaczynał się śmiać urywanym, lecz ogłuszającym śmiechem.

II

Moja matka była bardzo wybredna w zawieraniu znajomości, ale Charłowa przyjmowała u siebie ze szczególną gościnnością i niejedno mu wybaczała; Charłow przed dwudziestu pięciu laty ocalił jej życie, utrzymawszy jej karetę na krawędzi głębokiego parowu, w który zwały się już konie. Szory i szleje popękały, a Martyn Pietrowicz nie wypuścił z rąk koła, choć krew trysnęła mu spod paznokci. Moja matka ożeniła go, wydając za niego siedemnastoletnią sierotę wychowaną w jej domu. Martyn Pietrowicz miał wtedy lat czterdzieści. Żona jego była drobna — mówiono, że Charłow wniósł ją do swojego domu na dłoni — żyła z nim niedługo, ale urodziła mu dwie córki. Moja matka po śmierci żony Charłowa otaczała go nadal swoją opieką. Starszą jego córkę umieściła w pensjonacie gubernialnym, potem znalazła dla niej męża i miała już upatrzonego męża dla młodszej córki, Charłow był solidnym gospodarzem, ziemi miał ze trzysta dziesięcin, zabudował się po trochu. O tym, że chłopcy byli mu posłuszni, nie warto nawet wspominać. Ze względu na swoją tuszę Charłow nigdzie prawie nie chodził piechotą, ziemia go nie nosiła. Jeździł wszędzie na niskiej linijce, sam powoził, kierując starą, trzydziestoletnią klaczą ze szramą od rany na grzbiecie: tę ranę otrzymała pod wachmistrzem kawalergardzkiego pułku w bitwie pod Borodino. Klacz wciąż kulała i to na wszystkie cztery nogi, stępa iść nie mogła, biegła tylko truchcikiem, podskakując, żywiła się po miedzach bylicą i piołunem, czego nie zaobserwowałem u żadnego innego konia. Pamiętam, że zawsze się dziwiłem, jak ta półżywa klacz mogła dźwigać tak straszny ciężar. Nie śmiem powiedzieć, ile pudów ważył nasz sąsiad. Za plecami Charłowa siadał w linijce jego czarnowłosy hajduczek, Maksymka. Przycisnąwszy się całym ciałem i twarzą do swojego pana, wparłszy się bosymi nogami w tylną oś linijki, Maksymka zdawał się być listeczkiem lub robaczkiem, który przypadkowo przylgął do piętrzącej się przed nim gigantycznej bryły mięsa. Ten sam hajduczek raz na tydzień golił

Martyna Pietrowicza. Opowiadają, iż w celu przeprowadzenia tej operacji Maksymka włożył na stół, inni kpiarze zapewniali, że musiał biegać wokół podbródka swojego pana. Charłow nie lubił długo siedzieć w domu, toteż często można go było widzieć, jak rozjeżdża w swoim odwiecznym ekwipażu, trzymając lejce w jednej ręce (drugą wystawiał zawadiacko, a łokieć opierał na kolanie), w maleńkim, starym kaszkiecie na czubku głowy. Śmiało rozglądał się dokoła swoimi niedźwiedzimi oczkami, grzmiącym głosem pozdrawiał wszystkich spotykanych chłopów, mieszczan i kupców; popom, których bardzo nie lubił, głośno i dosadnie wymyślał, a pewnego razu zrównawszy się ze mną (wyszedłem na przechadzkę ze strzelbą) tak głośno poszczuł zająca, który przycupnął koło drogi, że w uszach jęczało mi i dzwoniło aż do samego wieczora.

III

Moja matka, jak już wspominałem, gościnnie przyjmowała u siebie Martyna Pietrowicza; wiedziała, iż żywi dla niej głęboki szacunek! „Dziedziczka! Pani wielmożna! Osoba naszego pokroju!” — mawiał o niej Charłow. Nazywał ją dobrodziejką, a ona widziała w nim oddanego sobie olbrzyma, który nie zawahałby się ruszyć w jej obronie sam jeden przeciwko całej gromadzie chłopów. I chociaż nie przewidywano w ogóle takiego wypadku, jednakże według mojej matki nie należało wobec braku męża (matka wcześniej owdowiała) pogardzać takim obrońcą jak Martyn Pietrowicz. Był to przy tym człowiek prosty i szczerzy, nie starał się o niczyje względy, pieniędzy nie pożyczał, wódki nie pił — nie był też głupi, choć nie miał żadnego wykształcenia. Matka moja miała do niego zaufanie. Gdy powzięła zamiar spisania testamentu, wezwała go na świadka i Martyn Pietrowicz umyślnie pojechał do siebie po okrągłe okulary w drucianej oprawie, bez których nie mógł pisać; zresztą i z okularami na nosie, sapiąc i odymając się, ledwie zdołał w ciągu kwadransa z trudem nakreślić swój tytuł szlachecki, imię ojca i nazwisko, przy czym litery stawiał ogromne, kwadratowe, z zawijasami i ogonkami. Wykonawszy to trudne zadanie oświadczył, że jest znużony, że dla niego pisanie jest tym samym, co łowienie pcheł. Tak, moja matka szanowała go... ale dalej niż do jadalni go nie wpuszczano. Zbyt silny bowiem bił od niego zapach: niosło od niego ziemią, leśnym poszyciem, ilem bagien. „Jak od czorta!” — zapewniała moja stara niania. W czasie obiadu stawiano Martynowi Pietrowiczowi oddzielny stolik — nie czuł się tym dotknięty, wiedział, że innym było nieprzyjemnie obok niego siedzieć, zresztą i on mógł jeść swobodniej, a jadł tak, jak nikt — sędzę — nie jadał od czasów Polifema. Na wszelki wypadek odstawiano dla niego zawsze sześciofuntowy może garnek kaszy. „Ty mnie przecież objesz!” — mawiała moja matka. — „A tak, wielmożna pani, pewnie, że objem!” — odpowiadał uśmiechając się Martyn Pietrowicz.

Matka lubiła słuchać, gdy Charłow rozprawiał o sprawach gospodarskich, ale nie mogła zbyt długo wytrzymać jego głosu.

— Cóż to, mój kochany! — wołała — mógłbyś się chyba z tego wyleczyć! Zupełnie mnie ogłuszyłeś! Istna trąba!

— Natalio Nikołajewno! Dobrodziejko! — odpowiadał zazwyczaj Martyn Pietrowicz — nie jestem panem mojego gardła. Zresztą, jakie lekarstwo może mi pomóc? Niech pani sama pomyśli! Lepiej trochę pomilczę.

Myszę, że istotnie żadne lekarstwo nie mogłoby podziałać na Martyna Pietrowicza, który zresztą nigdy nie chorował.

Opowiadać Charłow nie lubił i nie umiał. „Od długiego gadania tylko zadyszka!” — mawiał z wyrzutem. Tylko wtedy, gdy naprowadzano rozmowę na rok 1812 (Charłow służył w pospolitym ruszeniu i otrzymał medal brązowy, który w święta nosił na włodzimierzowskiej wstążce), gdy go pytano o Francuzów, wówczas opowiadał kilka anegdot, chociaż stale przy tym zapewniał, że żadnych prawdziwych Francuzów w Rosji w ogóle nie było, tylko przywlekli się jacyś maruderzy zapędzeni głodem, a on sporo tej czerni wybił po lasach.

IV

A przecież ten niespożyty, pewny siebie olbrzym miewał chwile melancholii i zadumy. Bez wszelkiej widomej przyczyny nagle ogarniał go smutek; zamykał się wtedy samotnie w swoim pokoju i huczał — tak, właśnie huczał — niby wielki rój pszczół albo też przywoływał do siebie hajduczka Maksymkę i kazał mu śpiewać albo czytać na głos z jedynej książki, jaka dostała się do jego domu; był to jakiś luźny tom „Wypoczynku człowieka pracowitego” w wydaniu Nowikowa. I Maksymka, który dziwnym zbiegiem okoliczności potrafił sylabizować, zaczynał ze zwykłym w takich wypadkach polykaniem słów i przestawianiem akcentów wykrzykiwać np. następujące zdania: „...ale człowiek popędliwy czyni z owego miejsca pustego, jakie znajduje wśród stworzeń, wywody zupełnie inne. Każde stworzenie z oddzielna, po-wia-a-da, nie może uczynić mnie szczęśliwym!” itd., albo też cieniutkim głosikiem wyśpiewywał smutną piosenkę, z której nic nie można było pojąć poza dźwiękami: „I...i...e...e...i... Aaa”, ska!... O...y...y...by...i...i...i...ła! A Martyn Pietrowicz kiwał tylko głową, rozmyślał o znikomościach tego świata, o tym, że wszystko rozsypie się w proch i uschnie jako mdłe zioło, przeminie — i przestanie istnieć! Pewnego razu wpadł mu w ręce obrazek przedstawiający zapaloną świecę, na którą ze wszystkich stron, odymając policzki, dmuchają wiatry; niżej był napis: „Takie jest życie człowiecze”. Bardzo mu się spodobał ten obrazek, powiesił go w swoim gabinecie, ale w normalnych, niemelancholijnych okresach odwracał go do ściany, żeby zachować spokój. Charłow, ten olbrzym, lękał się śmierci! Jednakże nawet w okresach melancholii rzadko uciekał się o pomoc do religii czy też modlitwy, w tym wypadku miał bowiem więcej zaufania do swojego własnego rozsądku. Nie odznaczał się zbytnią pobożnością, w cerkwi również widywano go rzadko; mawiał co prawda, że nie chodzi do cerkwi rzekomo tylko dlatego, iż ze względu na swoje rozmiary boi się, by z niej wszystkich nie wypchnąć. Ataki melancholii kończyły się zazwyczaj w ten sposób, że Martyn Pietrowicz zaczynał pogwizdywać — i nagle grzmiącym głosem kazał zaprzęgać do linijki, potem jechał w sąsiedztwo chwacko potrząsając wolną ręką nad daszkiem kaszkietu, jakby chciał powiedzieć: teraz to już

wszystko jedno! Prawdziwy był z niego Rosjanin!

V

Siłacze podobni do Martyna Pietrowicza bywają najczęściej flegmatyczni; on zaś, przeciwnie, dość łatwo wpadał w rozdrażnienie. Wyprowadzał go z cierpliwości zwłaszcza brat jego nieboszczki żony, niejaki Byczkow — który znalazł kąć w naszym domu niby to w charakterze nadwornego błazna czy też rezydenta — przewany jeszcze we wczesnej młodości Suwenirem. To przezwisko przyłgnęło już do niego na stałe, nazywali go tak wszyscy, nawet służba, która co prawda tytułowała go Suwenirem Timofiewiczem. Prawdziwego swojego imienia Byczkow zdaje się nawet sam nie znał. Był to człowiek nieszczęśliwy, pogardzany przez wszystkich, słowem człowiek żyjący na cudzej łasce. Z jednej strony ust brakowało mu wszystkich zębów, wskutek czego jego mała pomarszczona twarzyczka wydawała się wykrzywiona. Suwenir nieustannie się krzątał, wciąż był w ruchu: to zachodził do izby dla pokojówek, to do kantoru, to znów na slobodę do popa albo do chaty starosty, zewsząd go wyganiano, a on tylko wzruszał ramionami i mrużył swoje zezowate oczka — i śmiał się przykrym, bulgocącym śmiechem, który brzmiał tak, jakby ktoś płucał butelkę. Zdawało mi się zawsze, że gdyby Suwenir miał pieniądze, to okazałby się jak najpodlejszym człowiekiem — złym, niemoralnym, a nawet okrutnym. Bieda mimo jego woli „skróciła mu cugle”. Pić pozwalano mu tylko w święta. Ubierano go przyzwoicie, według polecenia mamy, ponieważ Suwenir wieczorami służył jej jako partner do pikiety lub bostona. W takich chwilach Suwenir powtarzał: „Tak, za chwilę, ja *zyraz, zyraz...*” — „Co *zyraz?*” — z gniewem pytała go moja matka. Suwenir w mgnieniu oka krył ręce za plecami, kulił się i szeptał: „Jak sobie wielmożna pani życzy”. Podśluchiwać pod drzwiami, plotkować, a zwłaszcza „dogryzać” ludziom, drażnić ich — to było jego najważniejsze zajęcie, a „dogryzał” tak, jakby miał do tego prawo, jakby się za coś mścił. Suwenir zwracał się do Martyna Pietrowicza, mówiąc mu „panie bracie” i dokuczał mu nieustannie i boleśnie. „A za co, panie bracie, zamęczyliście moją siostrę, Margarytę Timofiejewnę?” — nie przestawał pytać Suwenir Martyna Pietrowicza, kręcąc się koło niego i chichocząc. Pewnego razu Martyn Pietrowicz siedział w pokoju bilardowym; było tam przewiewnie i nikt tam nigdy nie widział ani jednej muchy, toteż nasz sąsiad — wielki wróg upału i słońca — bardzo chętnie ten pokój odwiedzał. Martyn Pietrowicz siedział między bilardem i ścianą. Suwenir przesmykiwał się tuż obok jego brzucha, drażnił go i robił miny... Martyn Pietrowicz chciał go odepchnąć i wyciągnął przed siebie obie ręce. Na swoje szczęście Suwenir zdążył się uchylić, dłonie „pana brata” napotkały kant stołu — i ciężki, wiejski bilard spadł ze wszystkich sześciu śrub... Można sobie wyobrazić, jaki by placek pozostał z Suwenira, gdyby się dostał w te potężne dłonie!

VI

Od dawna już byłem ciekaw, jak Martyn Pietrowicz urządził swoje domostwo, chciałem

zobaczyć, jak wygląda jego mieszkanie. Pewnego razu oświadczyłem, że odprowadzę go konno do Ješkowa (tak nazywała się jego posiadłość). — Oho! chcesz obejrzeć moje królestwo? — zapytał Martyn Pietrowicz. — Proszę bardzo! Pokażę ci ogród i dom, i gumno, i wszystko. Pełno mam wszelkiego dobra! — Ruszyliśmy w drogę. Od naszej wsi do Ješkowa było tylko trzy wiorsty. „Widzisz, to moje królestwo! — zagrział nagle Martyn Pietrowicz, usiłując z trudem odwrócić swoją nieruchomą głowę i szeroko rozkładając ręce w lewo i w prawo. — To wszystko moje.” Dwór Charłowa stał na szczycie spadzistego wzgórza, w dole, jakby je przylepiono do brzegów niewielkiego strumienia, stało kilka biednych chłopskich chałup. Nad strumieniem u grobli stara baba w kraciastej spódnicy uderzała kijanką w skreconą bieliznę.

— Aksinia! — huknął Martyn Pietrowicz tak, że stado wróbli aż poderwało się z sąsiedniego pola zasianego owsem. — Mężowi gatki pierzesz, co?

Baba szybko odwróciła się i pokłoniła w pas.

— A tak, ojczulku, gatki — słyszać było jej słaby głos.

— A mówiłem! O, spójrz — ciągnął Martyn Pietrowicz, kłusując wzdłuż wpółzgniętego chruścianego płotu — to moje konopie, a to — chłopskie, widzisz różnicę? A to mój ogród, ja posadziłem jabłonie, wierzby też ja sadziłem. Przedtem nie było tu ani jednego drzewa. Ucz się — widzisz!

Skręciliśmy na dziedziniec otoczony parkanem, wprost bramy wznosiła się stara, zmurszała oficyna ze słomianą strzechą i ganeczkiem na słupkach. Obok stała druga oficyna, nowsza, z maleńką facjatką — ale także na kurzych nóżkach. „Patrz i ucz się — rzekł Charłow — widzisz, w jakim to domku mieszkali moi ojcowie, a teraz, o, jakie sobie wystawiłem pokoje.” Te pokoje podobne były do domku z kart. Pięć, sześć psów, jeden bardziej kudłaty od drugiego, przywitało nas ujadaniem. „Owczarki — zwrócił moją uwagę Martyn Pietrowicz. — Prawdziwe krymskie! Leżeć! Bo wam łby poukręcą!” Na ganku nowej oficyny ukazał się młody człowiek w długim nankinowym kitlu — mąż starszej córki Martyna Pietrowicza. Szybko podbiegł do bryczki, z szacunkiem podtrzymał łokieć zsiadającego teścia, a nawet usiłował pokazać, że drugą ręką zamierza podtrzymać olbrzymią nogę, którą teść, pochylając się ku przodowi, z rozmachem uniósł nad kozłem; następnie młody człowiek pomógł mi zejść z konia.

— Anno! — zawołał Charłow. — Synek Natalii Nikolajewny zechciał nas odwiedzić. Trzeba go ugościć. A gdzie Eulampia? (Anna była starszą, Eulampia młodszą córką Charłowa).

— Nie ma jej w domu. Poszła w pole zbierać bławatki — odpowiedziała Anna, stając w oknie koło drzwi.

— Twaróg jest? — zapytał Charłow.

— Jest.

— A śmietana jest?

— Jest.

— No, to przynieś, a ja tymczasem pokażę paniczowi mój gabinet. Panicz pozwoli, tędy —

dodał zwracając się ku mnie i kiwając na mnie wskazującym palcem. W swoim domu już mi nie mówił „ty”: gospodarz powinien przecież być uprzejmy. Prowadził mnie przez korytarz. — Tutaj spędzam czas — rzekł przechodząc bokiem przez próg szerokich drzwi — to mój gabinet. Proszę łaskawie wejść.

Gabinet okazał się przestronnym pokojem, nieotynkowanym i prawie pustym. Na ścianach na nierówno wbitych gwoździach wisiały dwie nahajki, trójgraniasty, zrudziały kapelusz, jednorurka, szabla, jakieś stare chomąto nabijane blaszkami i obrazek przedstawiający zapaloną świecę, na którą dmą wichry; w kącie pokoju stała drewniana kanapa, pokryta barwnym dywanem. Setki much głośno bzykały pod sufitem, zresztą w pokoju było chłodno, tylko czuło się bardzo silnie ten leśny zapach, który włókł się wszędzie za Martynem Pietrowiczem.

— No co, gabinet jak się patrzy? — zapytał Charłow.

— Bardzo tu ładnie.

— Popatrz, tu wisi holenderskie chomąto — ciągnął Charłow, znów przechodząc na „ty”. — Wspaniałe chomąto! Wymieniłem u Żyda. Spójrz tylko!

— Chomąto rzeczywiście piękne.

— Gospodarskie! Powąchaj no... co za skóra! — Powąchałem chomąto. Pachniało zjełczałym rybim tłuszczem — i tyle.

— No, niech panicz siądzie, o, tam, na krzeselku, proszę się rozgościć — rzekł Charłow, a sam opadł na kanapę i przymknąwszy oczy, jakby się zdrzemnął, nawet zaczął pochrapywać. Spoglądałem na niego w milczeniu i nie mogłem się napatrzeć: po prostu góra nie człowiek! Nagle Charłow ocknął się.

— Anno! — zawołał, a jego potężny brzuch wzniósł się przy tym i znowu opadł jak fala morska — co tam? Rusz no się! Czyś nie słyszała?

— Już nakryte, ojcze, proszę do stołu — rozległ się głos córki.

W głębi duszy zdziwiłem się, z jaką szybkością wypełniano polecenia Martyna Pietrowicza i ruszyłem za nim do salonu, gdzie na stole nakrytym czerwonym obrusem w białe pasy była już przygotowana przekąska: twaróg, śmietana, pszenny chleb, nawet cukier tłuczony z imbirem. Gdy rozprawiałem się z twarogiem, Martyn Pietrowicz dobrotliwie mruknąwszy: „Jedz, złotko, jedz, gołąbku, nie gardź naszą wiejską strawą” — znów usiadł w kącie i znów jakby się zdrzemnął. Przede mną nieruchomo, z opuszczonymi oczyma stała Anna, a przez okno mogłem dostrzec, jak jej mąż oprowadzał po dziedzińcu mojego konika, własnoręcznie przecierając łańcuszek uzdy.

VII

Moja matka nie okazywała względów starszej córce Charłowa; nazywała ją pyszałkiem. Anna prawie nigdy nie zjawiała się u nas z życzeniami, a w obecności matki zachowywała się oficjalnie i powściągliwie, chociaż z łaski mamy uczyła się w pensjonacie, wyszła za mąż, a w dzień ślubu otrzymała od niej tysiąc rubli asygnatami oraz żółty szal turecki, co prawda trochę podniszczony.

Anna była średniego wzrostu, niezbyt pełna, bardzo żywa, ruchliwa; włosy miała gęste, płowe, a na ładnej, smagłej twarzy trochę niezwykle, ale przyjemnie wyglądały bladobłękitne, wąskie oczy; nos był prosty i cienki, wargi także cienkie, a podbródek spiczasty. Każdy kto na nią spojrzał, z pewnością musiał sobie pomyśleć: „Ależ z ciebie ziółko!” Mimo to było w niej coś pociągającego; nawet ciemne, maleńkie znamiona, rozsiane gęsto na jej twarzy, nie raziły, przeciwnie — wzmagaly wrazenie, jakie wzbudzała jej postać. Z rękami wsuniętymi pod chustkę spoglądała na mnie z góry na dół (ja siedziałem, a ona stała), zły uśmieszek błakał się po jej wargach, policzkach, w cieniu długich rzęs. „Rozpieszczony paniczyk!” — mówił jakby ten uśmiech. Z każdym oddechem nozdrza jej rozdymały się lekko — to też wyglądało nieco dziwnie. Mimo wszystko zdawało mi się, że jeśliby Anna Martynowna mnie polubiła albo tylko zechciała mnie pocałować swoimi wąskimi, twardymi wargami — to z radości podskoczyłbym pod sam sufit. Wiedziałem, że Anna była bardzo surowa i wymagająca, że baby i dziewczki bały się jej jak ognia — ale cóż! Anna Martynowna drażniła skrycie moją wyobraźnię... Zresztą właśnie skończyłem wtedy piętnaście lat — a w tym wieku!...

Martyn Pietrowicz znowu się ocknął. — Anno! — zawołał — pobębniłabyś trochę na fortepianie... Młodzi panowie to lubią.

Obejrzałem się... w pokoju stało coś, co wykazywało żalosne podobieństwo do fortepianu.

— Słucham ojciec — odparła Anna Martynowna. — Ale co ja zagram temu panu? Jego to nie zainteresuje.

— Czego więc nauczyli cię na *pinjsi*?

— Pozapominałam już... zresztą struny popękały.

Głosik Anny Martynowny był bardzo miły, dźwięczny i jakby pełen skargi... podobny do głosu, jaki wydają czasem drapieżne ptaki.

— Hm... — zaczął Martyn Pietrowicz i zamyślił się — hm... zaczął znowu — a może chciałby panicz obejrzeć gumno, przypatrzeć się? Wołodźka pójdzie z paniczem. — Hej! Wołodźka! — zawołał do swojego zięcia, który wciąż jeszcze oprowadzał po podwórzu mojego konia — zaprowadź panicza na gumno... i w ogóle... pokaż moje gospodarstwo. A ja się trochę zdrzemnę! Tak! wszystkiego najlepszego! — Wyszedł z pokoju, a ja za nim. Anna Martynowna zaczęła natychmiast sprzątać ze stołu, czyniła to pośpiesznie i jakby z przykrością. W progu odwróciłem się i złożyłem jej ukłon, ale ona jakby nie dostrzegła mojego ukłonu, tylko znowu się uśmiechnęła i to jeszcze zjadliwiej niż poprzednio.

Odebrałem z rąk zięcia Charłowa uzdę mojego konia. Poszliśmy na gumno, ale ponieważ nic tam nie znaleźliśmy ciekawego, a w dodatku Wołodźka nie mógł przypuszczać, że mnie jako młodego chłopca szczególnie zajmuje gospodarstwo, więc przez ogród wróciliśmy na trakt.

VIII

Znałem dobrze zięcia Martyna Pietrowicza: nazywał się Włodzimierz Wasiljewicz Sletkin,

był sierotą, wychowankiem mojej matki, synem drobnego urzędnika, który zajmował się sprawami naszego majątku. Z początku umieszczono go w szkole powiatowej, potem wstąpił do „ojcowskiego biura”, potem dano mu pracę w magazynach państwowych i wreszcie ożeniono go z córką Martyna Pietrowicza. Moja matka zwała go „żydkiem”: i rzeczywiście — Sletkin ze swoimi kędzierzawymi włoskami, ze swoimi czarnymi i wiecznie wilgotnymi oczami, podobnymi do gotowanych śliwek, ze swoim jastrzębim nosem i szerokimi, czerwonymi wargami miał w sobie coś z typu żydowskiego. Tylko skórę miał białą i w ogóle był dość przystojny. Z natury był usłużny, byleby tylko sprawa nie miała nic wspólnego z jego osobistą korzyścią. W przeciwnym bowiem razie z chciwości zupełnie nie wiedział, co począć, a nawet zaczynał płakać. O byle szmatkę gotów był natrętnie żebrać przez cały dzień, sto razy przypominać o danej mu obietnicy i obrażał się, i jęczał, jeśli jej natychmiast nie spełniano. Lubił włóczyć się po polach ze strzelbą, a gdy zdarzało mu się ustrzelić zająca lub kaczkę, wówczas uroczyście wkładał swoją zdobycz do torby myśliwskiej mówiąc przy tym; „No, teraz sobie brykaj, i tak mi nie uciekniesz! Teraz *mnie* się przydasz!”

— Dobrego ma pan konika — rzekł swoim sepleniącym głosem, pomagając mi wleźć na siodło — przydałby mi się taki konik! Ale gdzie tam! Takie szczęście to nie dla mnie. Niechby pan może mamy poprosił... przypomniął! :— A czy panu obiecała?

— Gdyby obiecała! Nie, ale ponieważ jest tak wspaniałomyślna, więc myślałem...

— Niech się pan zwróci do Martyna Pietrowicza.

— Do Martyna Pietrowicza! — powtórzył przeciągle Sletkin — Martyn Pietrowicz tak samo odnosi się do mnie jak do jakiegoś tam nędznego hajduczka Maksymki. Ostro nas trzyma i żadnej nagrody nie widać za wszystkie trudy.

— Naprawdę?

— Jak Boga kocham. Kiedy Martyn Pietrowicz powie: „Moje słowo święte”, to jakby siekierą odrąbał. Proś, nie proś — wszystko jedno. Zresztą Anna Martynowna, moja małżonka, ma u niego mniejszy *awantaż* niż Eulampia Martynowna.

— Ach, mój Boże! — przerwał nagle i z rozpaczą załamał rękę. — Niech pan spojrzy, co to? Jakiś niegodziwiec wykosił całą półośminę owsa, naszego owsa. Widział pan? I jak tu żyć? Zbójce, bandyci! Rzeczywiście, prawdę mówią — nie wierz Jaśkowowi, Bieśkowowi, Jerinowi, Bielinowi (tak się nazywały cztery okoliczne wsie). Ach, ach, straty tu na półtora, a może i na dwa ruble!

W głosie Sletkina słychać było niemal szloch. Spiałem konia i szybko się oddaliłem.

Jeszcze dobiegały mnie okrzyki Sletkina, gdy nagle na zakręcie drogi ukazała się ta sama córka Charłowa Eulampia, która według Anny Martynowny poszła w pole po bławatki. Gęsty wianuszek tych kwiatów otaczał jej głowę. W milczeniu wymieniliśmy ukłony. Eulampia była również bardzo interesująca, nie brzydsza niż siostra, tylko urodę miała innego rodzaju. Była wysoka, postawna, wszystko w niej było wielkie — i głowa, i nogi, i ręce, i białe jak śnieg zęby, a zwłaszcza wypukłe, zamglone, ciemnoniebieskie oczy, podobne do szklanych paciorków.

Wszystkie członki jej ciała były prawie monumentalne (nie darmo była córką Martyna Pietrowicza), ale harmonijne. Widać było, że Eulampia nie wiedziała, co począć z jasnym, grubym warkoczem i trzykrotnie owinęła go wokół ciemienia. Usta miała prześliczne, świeże jak róża, malinowe, a gdy mówiła, to środek jej górnej wargi unosił się z lekka, co wyglądało bardzo mile. Ale w spojrzeniu jej olbrzymich oczu kryło się coś dzikiego, niemal okrutnego. „Sama sobie pani, kozacka krew” — mówił o niej Martyn Pietrowicz. Trochę się jej lękałem. Ta postawna piękność przypominała mi nieco jej ojczulka.

Odjechałem od niej niezbyt daleko i usłyszałem, że zaczęła śpiewać równym, silnym, nieco zbyt ostrym, prawie chłopskim głosem, potem nagle umilkła. Odwróciłem się i ze szczytu wzgórza ujrzałem ją stojącą obok zięcia Charłowa przed skoszoną ośminą owsa. Sletkin wymachiwał rękami, a ona stała bez ruchu. Słońce oświetlało jej wysoką postać, a wianuszek bławatków jaśniał błękitem na jej głowie.

IX

Powiedziałem wam już, zdaje się, moi panowie, że moja matka wystarała się o narzeczonego również i dla tej drugiej córki Charłowa. Był to jeden z najbiedniejszych naszych sąsiadów, Gawryło Fiedulicz Żytkow, emerytowany major, człowiek już niemłody i jak sam mówił o sobie, zresztą nie bez pewnej dumy, jak gdyby dając o sobie rekomendację: „nie w ciemię bity”. Żytkow ledwie umiał pisać i czytać i był bardzo głupi, ale, ponieważ uważał się za „wykonawcę”, w głębi duszy spodziewał się, że zostanie rządcą u mojej matki... „Czego innego to może nie, ale zęby liczyć chłopom, o, to ja doskonale potrafię — mawiał, sam niemal zgrzytając zębami — dlatego że się przyzwyczaiłem — wyjaśniał — w moim poprzednim zawodzie.”

Gdyby Żytkow nie był taki głupi, to by zrozumiał, że nie ma właśnie żadnych szans, by dostać się na stanowisko rządcy u mojej matki, ponieważ musiałby przedtem usunąć obecnego, rządcę, niejakiego Kwicińskiego, dzielnego i pracowitego Polaka, którego matka moja darzyła całkowitym zaufaniem. Twarz Żytkowa była długa, końska, cała obrośnięta jasnopopielatymi włosami, nawet policzki pod oczyma były zarośnięte. W największy mróz pokrywały ją gęste krople potu, niby brodawki. Na widok mojej matki Żytkow natychmiast wypręzał się jak struna, głowa zaczynała mu drgać z nadmiaru gorliwości, olbrzymie dłonie uderzały z lekka po biodrach i zdawało się, że cała postać woła: „Rozkaż tylko, a ja wszystko wykonam!” Moja matka nie łudziła się co do zdolności Żytkowa, to jej nie przeszkadzało jednakże zajmować się sprawą jego małżeństwa z Eulampią.

— Tylko czy ty dasz sobie z nią radę, ojczulku? — spytała go pewnego razu.

Żytkow uśmiechnął się dumnie.

— Ależ, Natalio Nikołajewno! Niech się pani zmiłuje, całą przecież kompanię trzymałem w karbach, chodzili jak na komendę, a tego bym nie potrafił! Też mi sztuka!

— Co innego kompania, ojczulku, a co innego szlachetnie urodzona dziewczyna, żona —

zauważyła moja matka z niezadowoleniem.

— Ależ, Natalio Nikołajewno! — znów wykrzyknął Żytkow. — Doskonale to możemy pojąć. Jedno tylko słowo. Panna, osoba delikatna!

— No — zdecydowała moja matka — Eulampią nie da sobie zrobić krzywdy.

X

Pewnego razu — było to w czerwcu i dzień chylił się już ku wieczorowi — służący zameldował o przyjeździe Martyna Pietrowicza. Moja matka zdziwiła się — nie widzieliśmy go już przeszło tydzień, ale nigdy nie odwiedzał nas o tak późnej porze. — Pewnie coś się stało! — wykrzyknęła półgłosem. Twarz Martyna Pietrowicza, gdy wwałił się do pokoju i natychmiast opadł na stojące tuż obok drzwi krzesło, miała wyraz tak niezwykle, tak była zamyślona, a nawet błada, że moja matka mimo woli głośno powtórzyła swój okrzyk. Martyn Pietrowicz w milczeniu wlepił w nią maleńkie oczka, westchnął ciężko, milczał jeszcze przez chwilę, wreszcie oświadczył, że przyjechał w pewnej sprawie... która... takiego rodzaju... z powodu...

Wymamrotawszy te słowa bez związku, nagle wstał i wyszedł.

Moja matka zadzwoniła na lokaja, a gdy ten wszedł, kazała mu natychmiast dogonić Martyna Pietrowicza i zawrócić z drogi. Ale Martyn Pietrowicz zdążył już wsiąść do swojego powoziku i odjechać.

Następnego ranka moja matka, którą zadziwiło, a nawet przygnębiło zarówno dziwaczne postępowanie Martyna Pietrowicza jak i niezwykle wyraz jego twarzy, zamierzała właśnie posłać umyślnego, gdy sam Martyn Pietrowicz znowu przed nią stanął. Tym razem wydawał się bardzo spokojny.

— No, mówże, ojczulku, mów — wykrzyknęła moja matka, gdy tylko go ujrzała — co się z tobą stało?! Wczoraj to aż sobie pomyślałam: Boże! — czy przypadkiem temu naszemu staruszkowi nie pomieszało się w głowie?

— Nie pomieszało mi się w głowie, łaskawa pani — odpowiedział Martyn Pietrowicz — nie taki ze mnie człowiek. Ale muszę się z łaskawą panią naradzić.

— W jakiej sprawie?

— Wątpię tylko, czy to będzie dla pani przyjemne...

— Mów, ojcze, mów, tylko jaśniej. Nie denerwuj mnie. Cóż to za *to*? Mów jaśniej. A może znowu ogarnęła cię melancholia?

Charłow zasepił się. — Nie, nie melancholia — miewam ją tylko wtedy, gdy księżyc jest na nowiu, ale, łaskawa pani, pozwól, że zapytam, co pani myśli o śmierci?

Moja matka przestraszyła się: O czym?

— O śmierci? Czy śmierć może oszczędzić kogokolwiek na tym świecie?

— Cóżes ty znowu, ojcze, wymyślił? Kto z nas jest nieśmiertelny? I ty — choć urodziłeś się olbrzymem — a przecież i twój koniec nastąpi.

— Nastąpi! Och nastąpi — podjął Charłow i zamyślił się. — Miałem widzenie senne — rzekł wreszcie.

— Co takiego? — przerwała moja matka.

— Widzenie senne — powtórzył. — Ja przecież sny widzę.

— Ty?

— Ja! A to pani nie wiedziała? — Charłow westchnął. — No więc było tak... Położyłem się, będzie temu więcej niż tydzień, w wigilię Pietrowego postu, położyłem się po obiedzie, by troszkę odpocząć, no i usnąłem, i widzę jak gdyby do mnie do pokoju wbiegł wrony źrebaczek. I zaczął ten źrebaczek brykać i zęby szczyrzyć. Jak żuk — taki wrony źrebaczek.

Charłow umilkł.

— No i co? — rzekła moja matka.

— Aż tu nagle odwraca się ten źrebaczek i jak wierzgnie prosto kopytem w mój lewy łokieć, w sam staw... Zbudziłem się: ani ręką ruszyć, ani lewą nogą. No, myślę sobie, paraliż. Ale jakoś się rozruszałem, tylko mi po stawach mrówki biegały i jeszcze teraz biegają. Jak rozprostuję dłoń, to biegają.

— Po prostu, Martynie Pietrowiczu, odleżałeś sobie rękę.

— Nie, łaskawa pani, proszę tak nie mówić! To było ostrzeżenie... o mojej śmierci.

— Ale, rzeczywiście! — przerwała mu moja matka.

— Ostrzeżenie! To znaczy: przygotuj się, człowiecze! I dlatego, łaskawa pani, nie zwlekając ani chwili, oto co chcę pani oświadczyć! Nie chcąc — krzyknął nagle Charłow — aby ta śmierć właśnie zaskoczyła mnie, raba bożego, niespodziewanie, pomyślałem sobie tak: rozdzielię teraz, jeszcze za życia, majątek między dwie córki moje, Annę i Eulampię, według wyroku boskiego. — Martyn Pietrowicz zamilkł, westchnął głęboko i dodał: — Nie zwlekając ani chwili.

— No cóż? Słusznie — zauważyła moja matka — myślę tylko, że niepotrzebnie tak się śpieszysz.

— I ponieważ pragnę — ciągnął podnosząc głos Charłow — aby się to odbyło w należyтым porządku i zgodnie z prawem, więc najpokorniej proszę synka pani, Dymitra Siemionowicza — łaskawej pani niepokoić nie śmiem — proszę więc synka onego, Dymitra Siemionowicza, a krewnego mojego, Byczkowa, zobowiązuję, aby byli obecni przy dokonaniu formalnego aktu i przy intromisji dwóch moich córek, zamężnej Anny i niezamężnej Eulampii; ten to akt ma się odbyć pojutrze, o dwunastej w południe, we własnym majątku moim, Jeśkowie, czyli Koziulkinie, z udziałem zwierzchnich władz i urzędników, którzy zostali już zaproszeni.

Martyn Pietrowicz z trudem zakończył tę mowę, z pewnością wyuczoną na pamięć i przerywaną częstymi westchnieniami... Wyglądał, jakby mu zabrakło w piersi tchu, jego pobladła twarz spurpurowiała; kilkakrotnie otarł z niej pot.

— Więc sporządziłeś już akt podziału? — spytała go moja matka. — Kiedyś ty to zdążył?

— Zdążyłem, och! Nie jedząc, nie pijąc...

— Sam pisałeś?

— Wołodźka... Och! Pomógł!...

— I podanie złożyłeś?

— Złożyłem i izba zatwierdziła, i sąd powiatowy otrzymał zlecenie, i wyznaczono dzień przybycia objazdowego sądu ziemskiego... och!

Matka uśmiechnęła się. — Widzę, Martynie Pietrowiczu, żeś załatwił wszystko jak należy — i jak prędko! Widać pieniędzy nie żałowałaś!

— Nie żałowałem, łaskawa pani.

— Właśnie! A mówisz, że chcesz się ze mną naradzić. No cóż, niech Mitieńka jedzie, pošę z nim Suwenira i powiem Kwicińskiemu... A Gawryłę Fiedulicza zaprosiłeś?

— Gawryła Fiedulicz... pan Żytkow... też jest przeze mnie powiadomiony. Jako narzeczonego wypada!

Martyn Pietrowicz wyczerpał cały zapas swojej wymowy. Przy tym wydawało mi się zawsze, że nie był zbyt dobrze usposobiony względem narzeczonego, którego wyszukała matka. Być może spodziewał się dla swojej Eulampiuszki partii bardziej korzystnej.

Wstał z krzesła i szurgnął nogą. — Za zgodę dziękuję!

— Dokąd, dokąd? — spytała moja matka. — Posiedźże, każę podać przekąskę.

— Bardzo dziękuję — odparł Charłow. — Ale nie mogę... Och! Muszę do domu...

Cofnął się i swoim zwyczajem ruszył bokiem w kierunku drzwi.

— Zaczekaj, zaczekaj! — ciągnęła moja matka — czy oddajesz córkom cały swój majątek bez reszty?

— A pewnie, bez reszty.

— No, a ty... gdzie będziesz mieszkał?

Charłow aż zamachał rękami. — Jak to gdzie? U siebie w domu, jak mieszkałem dotąd... tak będę mieszkał dalej. Jakaż tu może być zmiana?

— A jesteś tak zupełnie pewien swojego zięcia i córek?

— A to łaskawa pani raczy mówić o Wołodźce? O tej szmacie? Ja gdzie zechcę, tam go popchnę, i tu, i tam... Jakaż on ma władzę? A one, to jest córki, muszą mnie aż do grobu karmić, pić, odziewać i obuwać... Niech się łaskawa pani zmiłuje! Przecież to pierwszy ich obowiązek! Zresztą nie będę się im długo naprzykrzał. Śmierć przecież nie za górami, lecz za plecami.

— Śmierć — wola boska — zauważyła moja matka — a twoje córki rzeczywiście mają taki obowiązek. Tylko wybacz mi, Martynie Pietrowiczu, ale starsza twoja, Anna, znana z pychy, a młodsza też wilkiem patrzy...

— Natalio Nikołajewno! — przerwał jej Charłow — co też pani? Żeby one... Moje córki... żebym ja... Nieposłuszeństwo wobec ojca? Ależ im nawet we śnie... Sprzeciwiać się? Komu? Ojcu rodzonemu?... Odważyć się na coś takiego? A czy to trudno mi je przekląć? W bogobojności i w pokorze żyły dotąd — i nagle! Boże!

Charłowa aż się zakaszła, zachryła.

— No, dobrze, już dobrze — spieszenie uspakajała go moja matka. — Ale mimo wszystko nie rozumiem, dlaczego teraz właśnie zachciało ci się oddawać majątek? Przecież i tak dostanie się im po tobie. Myślę, że przyczyną wszystkiego jest twoja melancholia.

— Ależ, Natalio Nikołajewno! — nie bez oburzenia sprzeciwił się Charłowa — pani wciąż o tej melancholii! Tu działa może siła wyższa, a pani tylko: melancholia i melancholia! Dlatego, łaskawa pani, tak to obmyśliłem, że ja sam, za życia, chcę postanowić, kto ma co posiadać i kogo czym nagrodzę, niechże rządzi i wdzięczność niech czuje, i obowiązek niech spełnia, ojciec i dobroczyńca postanowił to jako wielką łaskę...

Charłowa znowu umilkła...

— No, dobrze już, dobrze, mój ojciec — przerwała mu moja matka — bo znów ci się zjawia wrony żrebaczek.

— Och, Natalio Nikołajewno, proszę mi o nim nie wspominać! — zajęczał Charłowa. — To śmierć moja przychodziła po mnie. Pokornie przepraszam. A paniczka dobrodzieja będę miał honor oczekiwać pojutrze!

Martyn Pietrowicz wyszedł, moja matka popatrzyła za nim i znacząco pokiwała głową. — Nic dobrego z tego nie wyjdzie — wyszeptwała. — Nic dobrego. Zauważyłeś — zwróciła się do mnie — że jak mówi, to oczy mruży jak od słońca. To zły znak. Takiemu człowiekowi na sercu bywa ciężko i grozi mu nieszczęście. Jedźże pojutrze z Wincentym Osipowiczem i z Suwenirem.

XI

W oznaczony dzień nasza wielka rodzinna czteroosobowa karetka, zaprzężona w szóstkę ciemnogniadych koni, z głównym „lejbstangretem”, siwobrodym, otyłym Aleksieiczem na koźle, powoli zajechała przed ganek naszego domu. Powaga aktu, do którego zamierzał przystąpić Charłowa, namaszczenie, z jakim nas zaprosił, podziały na moją matkę. Sama wydała polecenie, by zaprzężono do tego właśnie nie używanego zazwyczaj pojazdu, i kazała Suwenirowi i mnie ubrać się odświętnie: zapewne pragnęła uczcić swojego „protege”. Co do Kwicińskiego, to ten stale chodził we fraku i w białym halsztuku. Suwenir przez całą drogę paplał jak sroka, chichotał, zastanawiał się nad tym, czy szwagier mu co zostawi, a jednocześnie nazywał go bałwanem i potworem. Kwiciński, człowiek ponury, drażliwy, w końcu nie wytrzymał: — Że też chce się panu — powiedział swoim polskim wyraźnym akcentem — gadać takie głupstwa? Czy nie można siedzieć spokojnie, bez tych „nikomu niepotrzebnych” (było to jego ulubione wyrażenie) głupstw? — No, dobrze, dobrze — wymamrotał Suwenir z niezadowoleniem i wlepił swoje zezowate oczy w okno karety. Nie minął kwadrans, jednostajnym truchtem biegnące konie zaczynały się pocić pod cienkimi rzemieniami nowych uprzęży, gdy już ukazał się dwór Charłowa. Nasza karetka wtoczyła się na podwórze przez na oścież otwarte wrota; foryś maleńkiego wzrostu, ledwie dostający nogami do połowy końskiego tułowia, wydając dziecinny okrzyk

podskoczył po raz ostatni na miękkim siodle, łokcie starego Aleksieicza odchyliły się od jego boków i jednocześnie uniosły nieco ku górze, rozległo się delikatne prr, po czym karetą się zatrzymała. Psy nie powitały nas ujadaniem, znikli gdzieś nawet malcy wiejscy w długich koszulach, rozchylonych z lekka na wypiętych brzuchach. Na progu domu oczekiwał nas zięć Charłowa. Pamiętam, że moją uwagę zwróciły zwłaszcza gałązki brzoź, powtykane po obu stronach ganku niby w Zielone Świątki. Uroczystość nad uroczystościami — mruknął pod nosem Suwenir, pierwszy wyłaząc z karety. Rzeczywiście — uroczysty nastrój widoczny był we wszystkim. Zięć Charłowa miał na sobie pluszowy halsztuk z atlasową wstążką i niezwykle wąski, czarny frak, a włosy Maksymki, który wyskoczył zza pleców Byczkowa, tak były zmoczone kwasem, że aż spływały z nich krople. Weszliśmy do salonu i ujrzeliśmy Martyna Pietrowicza nieruchomo wznoszącego się — właśnie wznoszącego się — pośrodku pokoju. Nie wiem, jakie wrażenie odnieśli na widok jego kolosalnej postaci Suwenir i Kwiciński, ale ja poczułem coś w rodzaju bogobojnego strachu. Martyn Pietrowicz był w szarej, zapewne pamiętającej jeszcze czasy pospolitego ruszenia 1812 roku kazakinie z czarnym stojącym kołnierzem, na jego piersi widniał brązowy medal, u boku wisiała szabla, lewą rękę położył na rękojeści szabli, prawą opierał na stole pokrytym czerwonym sukniem. Dwa zapisane arkusze papieru leżały na tym stole. Charłow nie ruszał się z miejsca, nawet nie sapał; a jakie poczucie ważności wyrażało się w jego postawie, jaka pewność siebie, swojej nieograniczonej i niewątpliwej władzy! Ledwo powitał nas skinieniem głowy i ochryple wyrzekłszy „proszę” wskazał palcem lewej ręki w stronę ustawionych rzędem krzesel. Pod prawą ścianą bawialni stały obie córki Charłowa, wystrojone jak na niedzielę: Anna w zielonoliliowej, mieniającej się sukni z żółtym jedwabnym paskiem, Eulampia w sukni różowej z pąsowymi wstążkami. Przy nich sterczał Żytkow w nowym mundurze, ze zwykłym wyrazem tępego i chytrego oczekiwania w oczach i z większą niż zwykle ilością potu na owłosionej twarzy. Pod lewą ścianą bawialni w wytartej sutannie barwy tabaczkowej siedział pop, stary człowiek ze szczeciniastymi i siwymi włosami. Te włosy i smutne, wyblakłe oczy, i wielkie stwardniałe ręce, które jemu samemu były jakby ciężarem i leżały jak gązdy na kolanach, i wystające spod sutanny buty z grubej skóry — wszystko świadczyło o pracowitym życiu bez radości; jego parafia była bardzo biedna. Obok popa siedział sprawnik: tłuściutki, bledziutki, niechlujny panek, o pulchnych, krótkich rączkach i nóżkach, czarnoooki, z czarnymi przystrzyżonymi wąsami, z nie schodzącym z twarzy łajdackim, choć wesołym uśmiechem. Ów sprawnik słynął jako wielki amator łapówek, a nawet tyran, jak o nim mówiono w owym czasie, jednak lubili go i przyzwyczaili się do niego nie tylko obywatele ziemscy, ale i chłopci. Sprawnik rzucał wokół nieco roztargnione i ironiczne spojrzenia: widać było, że bawiła go cała ta „procedura”. W istocie interesowała go jedynie oczekiwana przekąska z wódeczką. Za to siedzący obok niego strapczy, człowiek chuderlawy, o twarzy wydłużonej, z wąskimi bokobrodami od ucha aż do nosa, jak je noszono za Aleksandra Pierwszego, całą duszą brał udział w czynnościach Martyna Pietrowicza i nie spuszczał z niego swoich dużych, poważnych

oczu; z wielkiego napięcia uwagi i zainteresowania wciąż poruszał wargami, ale ich nie otwierał. Suwenir przysiadł się do niego i szeptem zaczął z nim rozmawiać, oświadczywszy mi przedtem, że jest to pierwszy w guberni mason. Ziemski sąd objazdowy składa się, jak wiadomo, ze sprawnika, strapczego i stanowego, ale stanowego czy to w ogóle nie było, czy też tak się skrył, że go nie zauważyłem; zresztą miał on w naszym powiecie przewisko „nieistniejącego”, jak bywają „niepamiętający” ludzie, którzy zapomnieli swoje imię, nazwisko i miejsce zamieszkania. Usiadłem przy Suwenirze, Kwiciński zaś obok mnie. Na twarzy praktycznego Polaka malowało się wyraźne oburzenie na „nikomu niepotrzebną” jazdę, na daremną stratę czasu... Dziedziczka! Pańskie, rosyjskie, fantazje — zdawał się szeptać Kwiciński... „Ach, z tymi Rosjanami!...” —

XII

Kiedy wszyscy usiedli, Martyn Pietrowicz wyprostował się, chrząknął, obrzucił nas spojrzeniem swoich maleńkich niedźwiedzich oczek i głośno westchnąwszy tak zaczął mówić: Łaskawi panowie! zaprosiłem was z okazji następującej. Starzeję się już, moi panowie, siły mnie opuszczają... Było mi już dane ostrzeżenie, że godzina śmierci skrada się jako ten złodziej nocny... Prawda, ojczulku? — zwrócił się do popa.

Pop ocknął się. — A tak, a tak — zamruczał potrząsając bródką.

— I dlatego — ciągnął Martyn Pietrowicz, podwyższając nagle głos — nie chcąc, aby mnie ta śmierć zaskoczyła niespodziewanie, postanowiłem w swoim rozumie... — Martyn Pietrowicz powtórzył słowo za słowem to samo zdanie, które przed dwoma dniami wypowiedział u mojej matki.

— Na mocy tego to mojego postanowienia — wykrzyknął jeszcze głośniejszym głosem (tu uderzył ręką w leżące na stole papiery) spisany został przeze mnie ten oto akt i władze zwierzchnie są zaproszone w charakterze świadków, a na czym wola moja polega, o tym mówią punkty. Panowałem, a teraz mam dość!

Martyn Pietrowicz nałożył na nos swoje okrągłe okulary w drucianej oprawie, wziął ze stołu jeden z zapisanych arkuszy papieru i zaczął czytać:

— Akt podziału majątku sztykjunkra w stanie spoczynku i szlachcica rodowego Martyna Charłowa, przez niego samego w pełnym zdrowiu i przytomności umysłu, i według własnego życzenia sporządzony, w którym to akcie dokładnie określono, jakie pożytki i zyski z majątku daje się jego dwóm córkom, Annie i Eulampii, (pokłońcie się! — obie się pokłoniły) i w jaki sposób ludzie dworscy oraz pozostała własność, a także inwentarz zostanie między owe córki podzielony. Własnoręcznym podpisem stwierdził!

— To on ułożył ten dokumencik — szepnął ze swoim niezmiennym uśmiechem sprawnik Kwicińskiemu — chciał go przeczytać, aby się pochwalić swoim pięknym stylem, lecz akt prawny został sporządzony przepisowo, bez wszelkich ozdób.

Suwenir zaczął chichotać.

— Zgodnie z moją wolą! — wtrącił się Charłow, który dosłyszał uwagę sprawnika.

— We wszystkich punktach — pośpiesznie i wesoło odparł sprawnik — tylko wie pan, Martynie Pietrowiczu, przepisu w żaden sposób nie można ominąć. I zbędne szczegóły zostały usunięte. Bo przecież sąd w żadnym wypadku nie może się zajmować tym, czy krowy są łaciate, a kaczory — indyjskie.

— Chodźże tu! — warknął Charłow na zięcia, który wszedł za nami do pokoju i pokornie zatrzymał się w progu. Zięć natychmiast podbiegł do swojego teścia.

— No, weź, czytaj! Bo ja źle widzę. Tylko pamiętaj, nie połykaj słów! Żeby wszyscy tu obecni panowie mogli dobrze wnikać w treść.

Sletkin ujął arkusz obiema rękami i głosem drżącym, ale zrozumiałe, z uczuciem i smakiem zaczął czytać akt podziału. W akcie z największą dokładnością było zaznaczone, co przypada Annie, a co Eulampii i w jaki sposób siostry powinny się dzielić. Charłow co pewien czas przerywał czytanie, mówiąc: „Słyszysz, to dla ciebie, Anno, za twoje starania!” albo: „A ja tobie daruję, Eulampiuszko!” — i obie siostry składały pokłon: Anna w pas, Eulampia tylko głową. Charłow patrzył na nie ponuro i poważnie. „Dwór” (nowa oficyna) został oddany Eulampii — „jako młodszej córce według starodawnego obyczaju”. Głos czytającego te nieprzyjemne dla niego słowa zadrżał, Żytkow zaś obliznął się z zadowoleniem. Eulampia spojrzała na niego spoode łba. Gdybym był na miejscu Żytkowa, to takie spojrzenie zdecydowanie by mi się nie spodobało. Pogardliwy wyraz twarzy właściwy Eulampii, jak zresztą każdej prawdziwej rosyjskiej piękności, tym razem miał odcień szczególny. Sobie Martyn Pietrowicz pozostawiał prawo mieszkania w zajmowanych dotąd pokojach, oraz zastrzegł „oddzielne” pełne utrzymanie w „prowizji naturalnej”, oraz dziesięć rubli asygnatami co miesiąc na obuwie i odzież. Ostatnie zdanie aktu podziału Charłow chciał przeczytać sam. „I tę moją wolę rodzicielską” — głosiło to zdanie — „córki moje winny spełniać i przestrzegać święcie, jako przykazanie. Albowiem po Bogu ja jestem ich ojcem i panem, przed nikim nie jestem obowiązany się tłumaczyć i nigdy się nie tłumaczyłem, i jeśli będą spełniały moją wolę, to z nimi będzie moje błogosławieństwo ojcowskie, a jeśli nie będą spełniały mojej woli, przed czym niech Bóg zachowa, to spadnie na nie moje rodzicielskie, nieodwołalne przekleństwo, teraz i na wieki wieków, amen!”

Charłow wznosił arkusz wysoko nad głową, Anna natychmiast padła na kolana i uderzyła czołem o ziemię, za nią rzucił się jej mąż. „No, a ty co?” — zwrócił się Charłow do Eulampii. Ta spłonęła rumieńcem gniewu i również pokłoniła się do ziemi; Żytkow zgiął się całym tułowiem ku przodowi.

— Podpiszcie się! — wykrzyknął Charłow, wskazując palcem na koniec arkusza. — Tu! Dziękuję i przyjmuję, Anna! Dziękuję i przyjmuję, Eulampia!

Obie córki wstały i podpisały się kolejno. Sletkin także wstał i wyciągnął już rękę po pióro, ale Charłow odepchnął go, dotknąwszy jego halsztuka środkowym palcem z taką siłą, że Sletkin aż się wzdrygnął. Dłuższą chwilę trwało milczenie. Nagle Martyn Pietrowicz jak gdyby zaszlochał

i wymamrotawszy: No teraz wszystko wasze! — odsunął się na bok. Córki i zięć wymienili między sobą spojrzenia, podeszli do Martyna Pietrowicza i zaczęli całować go powyżej łokcia. Do ramienia nikt z nich nie mógł dosięgnąć.

XIII

Sprawnik przeczytał właściwy, formalny akt — akt darowizny dokonanej przez Martyna Pietrowicza. Potem wraz ze strapczym wyszedł na ganek i ogłosił zebranym u bramy sąsiadom, świadkom, chłopom Charłowa i kilku dworskim o tym, co się stało. Zaczęła się intromisja dwóch nowych dziedziczek, które także pojawiły się na ganku; sprawnik wskazywał na nie ręką, gdy z lekka zmarszczywszy lewą brew i w mgnieniu oka nadawszy swojej beztroskiej twarzy groźny wygląd pouczał chłopów o obowiązku „posłuszeństwa”.

Sprawnik mógłby właściwie obejść się bez tych pouczeń: sędzę, że bardziej pokorne twarze niż twarze chłopów Charłowa w ogóle nie istnieją w świecie. Odziani w nędzne, cienkie kaftany i podarte kozuchy, ale bardzo mocno ściśnięci pasami, jak to bywa przy uroczystych okazjach, chłopci stali nieruchomo, niby skamieniali, i gdy sprawnik przerywał jakimś powiedzonkiem w rodzaju: „Słyszycie, czarty! Rozumiecie, diabły zatracone!”, wówczas wszyscy razem zaczęli się nagle kłaniać jak na komendę; każdy z „czartów i diabłów” mocno trzymał swoją czapkę obiema rękami i nie odrywał spojrzenia od okna, w którym widniała postać Martyna Pietrowicza. Nieco śmielej zachowywali się świadkowie. — Czy znane są wam jakiegokolwiek przyczyny — zawołał do nich sprawnik — które by nie pozwalały wprowadzić w stan posiadania jedynych i prawnych spadkobierczyń i córek Martyna Pietrowicza Charłowa?

Wszyscy świadkowie natychmiast jakby się nastroszyli.

— No, co, są wam znane? diabły zatracone! — wykrzyknął znowu sprawnik.

— Nie, wielmożny panie, nie są nam znane — mężnie odpowiedział ospowaty staruszek z przystrzyżoną brodą i wąsami, były żołnierz.

— Ale śmiały chłop z tego Jeremieicza! — mówili rozchodząc się świadkowie. Nie zważając na prośby sprawnika, Charłow nie zgodził się wyjść z córkami na ganek. — Moi poddani i bez tego będą posłuszni mojej woli! — odparł. Po wypełnieniu aktu darowizny Martyna Pietrowicza jak gdyby ogarnął smutek. Jego twarz znów pobladła. Ten nowy, nie objawiający się dotąd wyraz smutku tak bardzo nie odpowiadał szerokim, prostackim rysom twarzy Martyna Pietrowicza, że nie zupełnie wiedziałem, co mam o tym myśleć. Czy to przypadkiem nie melancholia? Chłopi ze swej strony również byli zakłopotani. I rzeczywiście: „Dziedzic przecie żywy — o, stoi tu, i w dodatku co za dziedzic: Martyn Pietrowicz! I nagle przestaje być ich panem... Dziwy, dziwy!” Nie wiem, czy Martyn Pietrowicz odgadł, jakie to myśli snuły się w głowach jego „poddanych”, czy też zechciał po raz ostatni zaznaczyć swoją władzę, dość, że nagle otworzył lufcik, wsunął głowę w otwór i krzyknął gromkim głosem: „Słuchać się!” Potem zatrzaskał lufcik. Zakłopotanie chłopów oczywiście nie minęło ani się nie zmniejszyło. Skamieniali jeszcze bardziej i nawet jak

gdyby przestali patrzeć. Gromadka służby folwarcznej (wśród nich znajdowały się dwie zdrowe dziewczki w krótkich spódnicach z perkalu i z takimi łydkami, że podobne widzieć można chyba tylko na straszliwym „Sądzie Ostatecznym” Michała-Anioła; był także zupełnie już zgrzybiały, a nawet omszały ze starości, półślepy człowiek we włochatym, bajowym płaszczu — mówiono, że za czasów Potiomkina był trębaczem pułkowym — hajduczka Maksymkę Charłow zatrzymał przy sobie) okazywała więcej ożywienia niż chłopci, przynajmniej poruszała się w miejscu. Nowe dziewczki trzymały się sztywno, zwłaszcza Anna. Zacisnąwszy suche wargi uporczywie patrzyła w ziemię... Jej surowa postać niewiele dobrego obiecywała folwarcznym ludziom. Eulampia również nie podnosiła oczu, raz tylko odwróciła się i jak gdyby ze zdziwieniem ogarnęła powoli wzrokiem swojego narzeczonego, Żytkowa, który za przykładem Sletkina również uznał za stosowne zjawić się na ganku. „A ty tu jakim prawem?” zdawały się mówić piękne, wypukłe oczy Eulampii. Co do Sletkina, to ten zmienił się najbardziej ze wszystkich. W całej jego postaci przejawiało się niespokojne ożywienie, jak gdyby ogarnął go apetyt, ruchy głowy i nóg pozostawały nadal pokorne jak przedtem, ale za to jak zwinnie prostował ręce, jak niespokojnie poruszał łopatkami! „Wreszcie”, zdawał się mówić, „dorwałem się!” Zakończywszy „procedurę” intromisji sprawnik, któremu w miarę zbliżania się pory zakąski ślina aż rozdymała policzki, zatarł ręce w ten osobliwy sposób, jaki zazwyczaj poprzedza „wlanie w siebie” pierwszego kieliszka; ale okazało się, że Martyn Pietrowicz chciał przedtem odprawić nabożeństwo ze święceniem wody. Pop włożył starą, ledwie trzymającą się ryzę, chwiejający się na nogach diak wyszedł z kuchni, z trudem rozdmuchując kadzidło tłące się w starej, miedzianej kadzielnicy. Nabożeństwo się rozpoczęło. Charłow wzdychał co chwila; oczywiście nie mógł wskutek swojej tuszy bić czołem o ziemię, ale czyniąc prawą ręką znak krzyża i pochyliwszy głowę, wskazał palcem lewej ręki na podłogę. Sletkin promieniał, a nawet zaczął płakać. Żytkow wytwornie, po wojskowemu ledwie poruszał palcami między trzecim i czwartym guzikiem swojego munduru. Kwiciński jako katolik został w sąsiednim pokoju, za to sprawnik modlił się tak gorliwie i tak współczująco wzdychał wraz z Martynem Pietrowiczem, z taką szczerością szeptał i poruszał wargami, wznosząc oczy ku niebu, że patrząc na niego rozrzewniłem się i także zacząłem się żarliwie modlić. Po ukończeniu mszy i poświęceniu wody, przy czym wszyscy obecni, nawet ślepy potiomkinowski „waltornista”, nawet Kwiciński, zwilżyli oczy święconą wodą, Anna i Eulampia raz jeszcze, na polecenie Martyna Pietrowicza, dziękowały, kłaniając się do ziemi; i wtedy dopiero nastąpiła chwila śniadania! Potraw było mnóstwo, wszystkie nadzwyczaj smaczne; najedliśmy się strasznie. Zjawiła się nieunikniona butelka dońskiego wina. Sprawnik, jako człowiek lepiej znający od nas obyczaje wykwińskiego towarzystwa, no i oczywiście jako przedstawiciel władzy, pierwszy wygłosił toast za zdrowie „pięknych właścicielek”. Potem zaproponował nam toast za zdrowie najczcigodniejszego i najwspaniałomyślniejszego Martyna Pietrowicza. Przy słowie „najwspaniałomyślniejszy” Sletkin aż pisnął i rzucił się, by ucałować swojego dobroczyńcę... — No, dobrze, nie trzeba — mruzczał Charłow jak gdyby z przykrością,

odpychając Sletkina łokciem... Ale w tej chwili wydarzyło się coś niezbyt przyjemnego.

XIV

Oto, co się zdarzyło. Suvenir, który od chwili gdy zasiedliśmy do śniadania, pił bez przerwy, podniósł się nagle z miejsca, czerwony jak burak, i wskazując palcem na Martyna Pietrowicza zaniósł się suchym, złym śmiechem.

— Wspaniałomyślny! Wspaniałomyślny! — zazgrzytał — a my jeszcze zobaczymy, jak mu ta wspaniałomyślność posmakuje, kiedy go, sługę bożego, nago... i na śnieg!

— Co ty tam gadasz? Głupcze! — pogardliwie rzekł Charłow.

— Głupcze! Głupcze! — powtórzył Suvenir. — Jednemu tylko Bogu najwyższemu wiadomo, kto z nas dwóch jest prawdziwym głupcem. Ty, panie bracie, siostrę moją, twoją małżonkę, na śmierć zamęczyłeś — a za to teraz i na ciebie przyjdzie kryska... hahaha!

— Jak pan śmie obrażać naszego czcigodnego dobroczyńcę? — zapiszczał Sletkin i oderwawszy się od ramienia Martyna Pietrowicza rzucił się na Suwenira. — A czy pan wie, że jeśli nasz dobroczyńca zechce, to możemy natychmiast zniszczyć ten akt?...

— A wy jego i tak gołego... na śnieg... — rzucił Suvenir schowawszy się za Kwicińskiego.

— Milczeć! — zagrzmiął Charłow. — Jak ci dam, to mokry ślad po tobie zostanie. A ty też milcz, szczeniaku! — zwrócił się do Sletkina — nie pchaj się, gdzie nie trzeba! Jeśli ja, Martyn Pietrowicz Charłow, postanowiłem ów akt podziału sporządzić, to któż może go zniszczyć? Kto może sprzeciwić się mojej woli? W całym świecie nie ma takiej władzy...

— Martynie Pietrowiczu! — przemówił nagle dźwięcznym głosem strapczy, który także sporo wypił, ale to dodało mu tylko powagi. — No, a jeśli pan dziedzic raczył powiedzieć prawdę? Dokonał pan wielkiej rzeczy, ale jeśli, Boże uchowaj, rzeczywiście zamiast należnej wdzięczności spotka się pan z jakim afrontem?

Spojrzałem ukradkiem na obie córki Martyna Pietrowicza. Anna aż wpiła się wzrokiem w mówiącego: bardziej złej, bardziej jadowitej i w tej złości piękniejszej twarzy nigdy, przyznać muszę, nie widziałem! Eulampia odwróciła się i skrzyżowała ręce; pogardliwy uśmieszek silniej niż kiedykolwiek wykrzywił jej pełne, różowe wargi.

Charłow podniósł się z krzesła, otworzył usta, język widać odmówił mu posłuszeństwa... Uderzył nagle pięścią w stół tak mocno, że aż wszystko w pokoju podskoczyło i zadźwięczało.

— Ojczulku — pośpiesznie rzekła Anna — oni nas nie znają i dlatego tak o nas myślą, ale wy nie pozwólcie szkodzić swemu zdrowiu. Niepotrzebnie racycie się gniewać, o, aż wam się twarz cała wykrzywiła.

Charłow spojrzał na Eulampię, nie ruszała się z miejsca, choć siedzący koło niej Żytkow trącał ją w bok.

— Dziękuję ci, córko moja, Anno — głucho przemówił Charłow. — Rozumne z ciebie dziecko! W tobie pokładam nadzieję, a także w twoim mężu. — Sletkin znowu pisnął, Żytkow wypiął pierś i z lekka tupnął nogą, ale Charłow nie zauważył jego wysiłków.

— Ten niegodziwiec — ciągnął Charłow, wskazując ruchem podbródka na Suwenira — rad by mnie rozdrażnić, ale nie panu, mój łaskawco — zwrócił się do strapczego — sądzić o postępowaniu Martyna Pietrowicza, nie jest go pan jeszcze zdolny pojąć. Choć urzędowa z pana osoba, lecz pańskie słowa to po prostu brednie. A zresztą, sprawa załatwiona, postanowienia mojego nie odmienię... No, życzę wszelkiej pomyślności! Ja stąd pójdę. Ja tu już nie jestem gospodarzem, jestem gościem. Anno, radź sobie, jak potrafisz, a ja pójdę do siebie, do gabinetu. Dość!

Martyn Pietrowicz odwrócił się do nas plecami i nie dodając ani słowa do tego, co powiedział, wolnym krokiem wyszedł z pokoju.

Nagle odejście gospodarza nie mogło nie zepsuć nastroju towarzystwa, tym bardziej, że niebawem zniknęły również obie gospodynie. Sletkin na próżno starał się nas zatrzymać. Sprawnik nie omieszkął uczynić strapczemu wyrzutu za jego niestosowną szczerość. — Trudno — odparł strapczy — sumienie się we mnie odezwało!

— Widać od razu, że to mason — szepnął mi Suwenir.

— Sumienie! — oburzył się komisarz. — Znamy pańskie sumienie! Pewnie ono u pana tak samo siedzi w kieszeni jak i u nas grzesznych!

Tymczasem pop, stojąc już, w przewidywaniu bliskiego końca uczyty jadł bez przerwy, wpychając do ust kęs za kęsem.

— A dobrodziej, widzę, ma niezgorszy apetyt — bezceremonialnie zauważył Sletkin. ,

— Na zapas — odparł pop z grymasem pokory; w tej odpowiedzi czuło się zastarzały głód.

Zaturkotały pojazdy — i rozjechaliśmy się do domów.

W powrotnej drodze nikt nie przeszkadzał Suwenirowi w strojeniu min i w gadulstwie, ponieważ Kwiciński oświadczył, że dosyć już ma tych „nikomu niepotrzebnych” głupstw, i wcześniej niż my ruszył do domu na piechotę. Zamiast niego wsiadł do naszej karety Żytkow; major w stanie spoczynku miał wygląd człowieka bardzo niezadowolonego i co chwila ruszał wąsami niby karaluch.

— No i cóż, wielmożny panie — szczebiotał Suwenir — subordynacja, widać, poderwana! Niech pan poczeka, to jeszcze nie wszystko! I panu pieprzu zadadzą! Ach, narzeczony, narzeczony, nieszczęsny narzeczony!

Suwenir aż dygotał, a biedny Żytkow tylko poruszał wąsami.

Wróciwszy do domu opowiedziałem wszystko, com widział, mojej matce. Wysłuchała mnie uważnie i kilkakrotnie pokręciła głową. — Nic dobrego z tego nie wyniknie — rzekła. — Nie podobają mi się te wszystkie nowości!

XV

Następnego dnia Martyn Pietrowicz przyjechał przed obiadem. Moja matka powinszowała mu szczęśliwego zakończenia rozpoczętej przez niego sprawy. — Teraz jesteś wolnym

człowiekiem — rzekła — i powinno ci być źlej.

— Łzej, to łzej, łaskawa pani — odparł Martyn Pietrowicz, ani trochę jednakże nie pokazując wyrazem twarzy, że mu rzeczywiście teraz łzej. — Teraz można pomyśleć o duszy i przygotować się jak należy na godzinę śmierci.

— A co — zapytała moja matka — czy wciąż ci mrówki biegają po ręku?

Charłow dwukrotnie zacisnął i rozprostował dłoń lewej ręki.

— Biegają, łaskawa pani; i jeszcze pani coś powiem: jak tylko zaczynam zasypiać, to od razu coś mi w głowie woła: „strzeż się”, „strzeż się”!

— To... nerwy — zauważyła moja matka i zaczęła mówić o wczorajszym dniu, wspominając przy tym o pewnych okolicznościach towarzyszących dokonaniu aktu podziału.

— No, tak, tak — przerwał jej Charłow — coś tam było... Ale to nieważne. Tylko wie pani co? — dodał z namysłem: — nie zaniepokoiły mnie wczoraj puste słowa Suwenira, nawet sam pan strapczy, choć to i stateczny człowiek, nawet on mnie nie zaniepokoił, ale zaniepokoiło mnie... — tu Charłow przerwał.

— Kto? — spytała moja matka.

Charłow rzucił na nią spojrzenie. — Eulampia!

— Eulampia? Twoja córka? A to jakim sposobem?

— Zmiłuj się, dobrodziejko! Siedziała jak głaz! Istny posąg! Czyżby nic nie czuła? Siostra jej, Anna, o, ta zachowuje się jak należy! Delikatna! A Eulampia — przecież, co tu ukrywać, okazywałem jej wiele względów! Czy jej mnie nie żal! Widać źle już ze mną, czuję, że już niedługo pożyję na tej ziemi, kiedy im wszystko oddaję, a ona — jak głaz! Gdyby choć powiedziała jedno słowo! Kłaniać się — kłania, a wdzięczności nie widać!

— To nic, poczekaj — powiedziała moja matka — wydamy ją za Gawryłę Fiedulicza... przy nim zmięknie.

Martyn Pietrowicz znów spode łba spojrział na moją matkę.

— No, cóż, Gawryła Fiedulicz! Łaskawa pani widać na niego liczy?

— Liczę.

— Tak... No, cóż, pani lepiej wie. A muszę pani powiedzieć, że Eulampia całkiem do mnie podobna — charakter ten sam. Kozacka krew, a serce jak rozżarzony węgiel!

— A czy twoje serce takie, mój ojczu?

Charłow nie odpowiadał. Nastąpiła krótka chwila milczenia.

— Cóż więc, Martynie Pietrowiczu — zaczęła moja matka — w jaki sposób zamierzasz teraz zbawić swoją duszę? Pojedziesz do Mitrofana, a może wybierzesz się do Kijowa? Albo może do pustelni optyńskiej, bo to przecie niedaleko, w sąsiedztwie? Opowiadają, że tam pojawił się taki święty mnich... nazywają go ojcem Makarym, nikt jeszcze takiego nie pamięta! Wszystkie grzechy na wylot widzi.

— Jeśli ona rzeczywiście okaże się niewdzięczną córką — wyrzekł ochryplym głosem

Charłow — to chyba lżej mi będzie zabić ją własnymi rękami!

— Co takiego! Co ty mówisz! Niech cię Bóg ma w swojej opiece! Opamiętaj się! — wykrzyknęła moja matka. — Co też ty mówisz! A widzisz, posłuchałbyś mnie przed kilkoma dniami, kiedy przyjechałeś po radę! A teraz będziesz tylko siebie dręczył — na próżno! Tak! Teraz skarżysz się, strach cię oblatuje...

Zdaje się, że ten wyrzut ukłuł Charłowa w samo serce. Cała jego dawna pycha wezbrała w nim jak fala. Zachnął się i wysunął do przodu podbródek.

— Nie taki ze mnie człowiek, łaskawa Natalio Nikołajewno, żebym miał się skarżyć albo stchórzyć — przemówił ponurym głosem. — Ja tylko chciałem podzielić się z panią, jako z moim dobroczyńcą i z osobą godną szacunku, moimi uczuciami. Ale Bóg wie (Charłow wznosił rękę nad głowę), że raczej kula ziemską się rozpadnie, niż bym miał złamać swoje słowo, albo... (tu Charłow aż parsknął z oburzenia) stchórzyć, albo żałować tego, co uczyniłem! Widać był powód! A córki moje nie przestaną mi okazywać posłuszeństwa, na wieki wieków, amen!

Moja matka zatkała uszy.

— Cóż to, ojcze, trąbisz, niby jaka trąba! Jeśli tak jesteś pewien swoich domowników, to chwala Bogu! Głowa mi już pęka od twojej przemowy!

Martyn Pietrowicz przeprosił, westchnął dwukrotnie i zamilkł. Moja matka znów wspomniała o Kijowie, o pustelni optyńskiej, o ojcu Makarym... Charłow potakiwał, mówił, że „konieczne... trzeba będzie... o duszy” — i na tym koniec. Smutek nie opuścił go aż do chwili odjazdu; co pewien czas zaciskał dłoń i znowu ją prostował, patrzył na nią, mówił, że najbardziej lęka się umrzeć bez pokuty, od nagłego ataku serca, i że złożył ślub, iż nie będzie wpadał w gniew, bo krew się psuje i uderza do głowy... Zresztą teraz uchylił się już od wszystkich spraw — dlaczegóżby miał wpadać w gniew? Niechże inni teraz się napracują i niech sobie psują krew!

Żegnając się z moją matką Charłow dziwnie na nią spoglądał, z zadumą i pytająco... i nagle szybkim ruchem wydobywszy z kieszeni tom „Niepróżnującego próżnowania” wetknął go matce do ręki.

— Co to? — spytała.

— Niech pani przeczyta... o... tu — rzekł pośpiesznie — tu, gdzie róg zagięty, o śmierci. Zdaje mi się, że to bardzo trafnie powiedziane, a zrozumieć nie mogę w żaden sposób. Czyby mi pani nie wytłumaczyła, moja dobrodziejko? Ja tu przyjadę, a pani mi wtedy wytłumaczy.

Mówiąc to Martyn Pietrowicz Wyszedł z pokoju.

— Niedobrze, ej, niedobrze! — rzekła moja matka, gdy tylko Charłow znikł za drzwiami, i zaczęła czytać „Niepróżnujące próżnowanie”. Na zaznaczonej przez Charłowa stronie widniały następujące słowa:

„Śmierć jest to wielka i poważna praca przyrody. Polega ona na tym jedynie, iż duch im delikatniejszy, tym jest lżejszy, tym bardziej wiotki i bardziej przenikliwy od owych żywiołów, w których władzę był oddany, a nawet od siły elektrycznej, oczyszcza się chemicznie i dotąd nie

ustaje w dążeniu, póki nie znajdzie właściwego sobie duchowego miejsca...” itp.

Moja matka przeczytała ten fragment dwukrotnie, krzyknęła „tfu!” — i odrzuciła książkę.

W trzy dni potem otrzymała wiadomość, że zmarł jej szwagier, i wraz ze mną wyruszyła na wieś do swojej siostry. Moja matka sądziła, że spędzi tam miesiąc, ale pozostała aż do późnej jesieni — i dopiero pod koniec września wróciliśmy do naszego majątku.

XVI

Gdy wróciłem, mój kamerdyner, Prokofij (który pełnił również funkcje strzelca w naszym dworze) powiedział mi, że słońek nadleciało tyle, że aż się ćmi w oczach, i że pełno ich zwłaszcza w brzeźniaku, niedaleko Ješkowa (majątku Charłowa). Do obiadu było jeszcze ze trzy godziny; natychmiast schwyciłem strzelbę i torbę myśliwską, po czym wraz z Prokofijem i wyżłem podążyłem do ješkowskiego brzeźniaka. Słońek znaleźliśmy tu rzeczywiście mnóstwo — oddawszy około trzynastu wystrzałów zestrzeliliśmy pięć sztuk. Wracając ze zdobyczą do domu, ujrzałem obok drogi orzącego chłopą. Koń zatrzymał się i chłop, przeklinając ze złością i niemal z płaczem, bezlitosnymi, gwałtownymi ruchami ciągnął sznurową uzdą przegiętą w bok łeb koński. Przyglądałem się nieszczęsnej klaczy, której zebra omal nie wyłaziły przez skórę, a złane potem boki wzdymały się spazmatycznie i nierówno niby liche miechy kowalskie — i od razu poznałem w niej starą, tyle lat służącą Martynowi Pietrowiczowi, zgrzybiałą kobyłę ze szramą na grzbiecie.

— Czy pan Charłow żyje? — spytałem Prokofija. Polowanie tak nas „całkowicie” obu pochłonęło, że do tej chwili nie mówiliśmy o niczym innym.

— Żyje. A co?

— To przecież jego kobyła. Czyżby ją sprzedał?

— Kobyła, prawda, ichnia, tylko sprzedawać, to jej pan Charłow nie sprzedawali, zabrali ją im i oddali temu chłopu.

— Jak to: zabrali? I on się zgodził?

— O ich zgodę to nawet nie pytali. Tu, jak panicza nie było, to takie porządki nastąpiły... — rzekł z lekkim uśmieszkiem Prokofij w odpowiedzi na moje zdziwione spojrzenie — aż strach! Mój Boże! Teraz to tam pan Sletkin gospodarzy.

— A Martyn Pietrowicz?

— A Martyn Pietrowicz popadł w skrajną nędzę. O suchym chlebie żyje — cóż może być jeszcze? Już go całkiem wykończyli. Patrzyć tylko, jak go ze dworu wypędzą.

Myśl, że takiego olbrzyma można wypędzić, nie mieściła mi się w głowie.

— A co Żytkow, na co czeka? — spytałem wreszcie. — Przecież ożenił się z drugą córką Charłowa?

— Ożenił się? — powtórzył Prokofij i tym razem uśmiechnął się szeroko. — Jego to nawet na próg nie puszczają. „Nie trzeba, powiadają, nie pchaj nosa do cudzego prosa”. Tak, tak, Sletkin wszystkim rządzi.

— A co na to narzeczona?

— Niby Eulampia Martynowna? Eh, paniczu, powiedziałbym... ale panicz jeszcze za młody... takie rzeczy się tu dzieją, że... oho...! Ej, Dianka zdaje się przystanęła!

Rzeczywiście: młoda suka stanęła, jakby ją kto w ziemię wkopał, przed rozłożystym, młodym dębczakiem, którym kończył się wąski, przylegający do drogi wąwóz. Obaj z Prokofijem podbiegliśmy do suki; z dębczaka wzbijała się słonka. Wystrzeliliśmy obaj — i obaj spudłowaliśmy; słonka siadła na innym drzewie, ruszyliśmy za nią.

Gdy wróciłem, zupa już stała na stole. Mama skrzyczała mnie.

— Jak to? — rzekła z niezadowoleniem — pierwszego dnia już każesz czekać na siebie z obiadem?

Położyłem przed nią słonki, ale nawet na nie nie spojrzała. W pokoju oprócz niej był Suwenir, Kwiciński i Żytkow. Żytkow zaszył się w kąt — wyglądał niby uczeń, który coś zbroił. Jego twarz wyrażała zarazem zmieszanie i oburzenie, oczy miał zaczerwienione... Można by nawet było pomyśleć, że niedawno płakał. Moja matka nadal była w złym humorze; nie wysilając się zbytnio zrozumiałem, iż przyczyną tego nie było moje spóźnienie. Podczas obiadu mama prawie z nikim nie rozmawiała, major z rzadka wznosił ku niej żalosne spojrzenia, co jednakże nie przeszkadzało mu w jedzeniu. Suwenir podrygiwał, Kwiciński zachowywał zwykłą pewność siebie.

— Wincenty Osipiczu — zwróciła się ku niemu moja matka — proszę, by posłał pan jutro po Martyna Pietrowicza powóz, ponieważ dowiedziałam się, że swojego już nie ma, i niech pan każe mu powiedzieć, żeby koniecznie przyjechał, że chcę się z nim zobaczyć.

Kwiciński chciał zaoponować, ale się powstrzymał.

— I niech pan da znać Sletkinowi — ciągnęła mama — że ja mu każę, żeby do mnie przyszedł... Słyszysz pan? Ka... że... mu.

— Rzeczywiście... tego niegodziwca warto by... — zaczął półgłosem Żytkow, ale mama spojrzała na niego z taką pogardą, że natychmiast odwrócił się i umilkł.

— Słyszysz pan? Każę mu! — powtórzyła mama.

— Słucham pani — posłusznie, ale z godnością rzekł Kwiciński.

— Martyn Pietrowicz nie przyjedzie! — szepnął do mnie Suwenir, wychodząc wraz ze mną z jadalni po obiedzie. — Zobaczysz pan, co się z nim stało! W głowie się nie mieści po prostu! Myślę, że kiedy do niego mówią, to on i tak nie rozumie. Tak! Trafiła kosa na kamień! — I Suwenir zaniósł się swoim ostrym śmiechem.

XVII

Przewidywanie Suwenira okazało się trafne. Martyn Pietrowicz nie chciał przyjechać do mojej matki. Ale ona nie zadowolila się tą odpowiedzią i posłała do niego list. Martyn Pietrowicz przysłał jej ćwiartkę papieru, na której wielkimi literami były napisane następujące słowa: „Nie

mogę, naprawdę nie mogę. Wstyd mnie zabije. Lepiej niech tak przepadnę. Dziękuję. Niech pani mnie nie męczy. Charłow Martynko”. Sletkin przyjechał, ale nie tego dnia, w którym mama „kazała” mu się zjawić, tylko w kilka dni potem. Mama poleciła, by go przyprowadzono do niej, do gabinetu. Bóg wie, o czym mówili, ale trwało to niedługo, niespełna kwadrans. Sletkin wyszedł z gabinetu zaczerwieniony i z tak jadowicie złym i hardym wyrazem twarzy, że natknąwszy się na niego po prostu osłupiałem, a kręcącemu się w salonie Suwenirowi śmiech zamarł na wargach. Mama wyszła także z twarzą zaczerwienioną i oświadczyła tak, by wszyscy mogli usłyszeć, żeby na przyszłość pana Sletkina w żadnym razie już do niej nie puszczają. A jeśli córkom Martyna Pietrowicza przyszłoby na myśl zjawić się — a na to przecież nie brak im bezczelności — to i ich także nie wpuszczają. Przy obiedzie mama nagle wykrzyknęła: — „Cóż to za podły żydek! Ja go przecież za uszy wyciągnęłam z błota, zrobiłam z niego człowieka, on mi zawdzięcza wszystko, wszystko i śmie mi mówić, że niepotrzebnie wtrącam się do ich spraw! Że Martyn Pietrowicz dziwaczy i że nie można mu potakiwać! Potakiwać! Także! Ach, to niewdzięczny szczeniak! Wstrętny żydek!”

Major Żytkow, który również znajdował się wśród obiadowych gości, wyobraził sobie, że teraz to już sam Bóg zsyła mu okazję i dorzucił słówko... ale moja matka natychmiast osadziła go na miejscu. — No, no, tyś też dobry, ojcze! — rzekła. — Z dziewczyną sobie nie mógł dać rady, oficer z niego w dodatku! Kompanią dowodził! Wyobrażam sobie, jak ciebie żołnierze słuchali! Chciał być rządcą majątku! Dobry by z ciebie był rządcą!

Kwiciński, który siedział w końcu stołu, uśmiechnął się do siebie nie bez złośliwości, biedny zaś Żytkow tylko poruszył wargami, uniósł brwi i wetknął całą swoją owłosioną twarz w serwetkę.

Po obiedzie Żytkow wyszedł na ganek, aby jak zwykle wypalić fajeczkę — i wydał mi się tak żalony i osierocony, że choć nie bardzo go lubiłem, jednakże nie mogłem się do niego nie zbliżyć.

— Jak się to stało, Gawryło Fieduliczu — zacząłem bez ogródek — że się panu ta sprawa z Eulampią Martynówną nie powiodła? Myślałem, że pan już dawno się ożenił.

Major w stanie spoczynku spojrział na mnie smutnym wzrokiem.

— Żmija spod głazu — rozpoczął z goryczą, dokładnie wymawiając każdą literę — ukąsiła mnie swoim żądłem i wszystkie moje nadzieje w życiu obróciły się w proch! Opowiedziałbym panu, Dymitrze Siemionowiczu, o wszystkich obrzydliwych postępkach Eulampii Martynowny, ale boję się rozgniewać pańską mamę! („Panicz jeszcze za młody”... — usłyszałem w jego głosie wyrażenie Prokofija). Już i tak...

Żytkow chrząknął.

— Cierpieć... cierpieć... nic więcej nie pozostało! (Uderzył się pięścią w pierś). Cierp, stary wojaku, cierp! Carowi służyłem wszystkimi siłami... tak! Krwi i potu nie szczędziłem, a teraz, widzi pan, czego się doczekałem! Gdyby to było w pułku i gdyby zależało to ode mnie — ciągnął po chwili milczenia, nerwowo ssąc swój wiśniowy cybuch — to ja bym go... ja bym go szablą raz-

dwa wyplazował.. ażby miał dosyć...

Żytkow wyjął fajkę z ust i utkwiał wzrok w przestrzeni, jak gdyby lubując się w wyobraźni wywołanym przez siebie obrazem.

Podbiegł Suwenir i zaczął dokuczać majorowi. Zostawiłem ich, odszedłem — i postanowiłem za wszelką cenę na własne oczy zobaczyć Martyna Pietrowicza. Moja dziecięca ciekawość była silnie podrażniona.

XVIII

Następnego dnia znów ze strzelbą i z suką, ale bez Prokofija, wyruszyłem w stronę jeśkowskiego zagajnika. Dzień był cudowny; myślę, że nigdzie poza Rosją nie bywa podobnych dni we wrześniu. Cisza trwała tak wielka, że można było dosłyszeć z odległości stu kroków, jak wiewiórka skacze po suchym listowiu, jak zeszcła gałązka, z początku lekko zaczepiając o konary, spada na miękką trawę — spada na zawsze, nigdy się już nie poruszy, aż wreszcie zbutwieje. Powietrze — ani ciepłe, ani świeże, lecz wonne, jakby kwaskowate — przyjemnie szczypało troszkę w oczy i policzki; cieniutka, długa pajęczyna, niby nić jedwabna z białą kulką pośrodku, nadleciała zwolna i zaczepiwszy się na lufie strzelby pionowo chwiała się w powietrzu — była to oznaka stałej, ciepłej pogody. Słońce świeciło, ale tak łagodnie jak księżyc. Słonki trafiały się często, lecz nie zwracałem na nie szczególnej uwagi; wiedziałem, że brzozowy zagajnik ciągnie się aż do majątku Charłowa, do płotu jego ogrodu, i szedłem w tym kierunku, chociaż nie wyobrażałem sobie, w jaki sposób uda mi się dostać do dworu, a nawet nie byłem pewien, czy powinienem się o to starać, ponieważ moja matka gniewała się na nowych właścicieli.

Wydało mi się, że z niewielkiej odległości dobiegają mnie ożywione głosy ludzkie. Zacząłem nasłuchiwać.... Ktoś szedł lasem... prosto na mnie.

— Powiedziałbyś tak od razu — usłyszałem głos kobiety.

— Przestań! — przerwał inny głos, głos mężczyzny. — Czy można tak wszystko na raz?

Głosy były mi znajome. Wśród krzaków leszczyny, które w tym miejscu nie były tak gęste, mignęła błękitna suknia. Obok pojawił się ciemny surdut. Jeszcze chwila — i na polanę w odległości pięciu kroków ode mnie wyszedł Sletkin i Eulampia.

Na mój widok ogarnęło ich nagłe zmieszanie. Eulampia natychmiast cofnęła się w krzaki. Sletkin po chwili namysłu podszedł do mnie. Na jego twarzy nie widać było już ani śladu tej uniżonej pokory, z jaką przed czterema miesiącami wycierał uzdę mojego konia, oprowadzając go po dziedzińcu we dworze Charłowa. Ale nie mogłem też wyczytać w jego rysach tej wyzywającej pewności siebie, która mnie tak uderzyła w jego twarzy, gdy go ujrzałem w drzwiach gabinetu mojej matki. Twarz jego jak dawniej była biała i ładna ale wydawała się szersza i pełniejsza.

— Cóż, czy dużo upolował panicz słońek? — uchyliwszy czapki spytał mnie z uśmiechem, gładząc ręką swoje czarne kędziory. — Panicz poluje w naszym zagajniku... Bardzo proszę! Nam

to nie przeszkadza... Przeciwnie!

— Dziś nie upolowałem ani jednej — rzekłem, odpowiadając na jego pierwsze pytanie — a z zagajnika zaraz wyjdę.

Sletkin pośpiesznie włożył czapkę na głowę. — Ależ dlaczego? My panicza nie wypędzamy, bardzo nam nawet miło... Eulampia Martynowna to samo powie. Eulampio Martynowno, proszę, niechże pani tu pozwoli! Gdzie się pani schowała?

Głowa Eulampii pokazała się zza krzaków, ale Eulampia do nas nie podeszła. Od czasu gdy ją widziałem, wypiękniała — jak gdyby wyrosła i utyla.

— Prawdę mówiąc — ciągnął Sletkin — nawet mi bardzo przyjemnie, że się z paniczem spotykam. Choć panicz jest jeszcze młody, ale ma rozum dorosłego. Matka panicza raczyła się wczoraj na mnie pogniewać, żadnych moich racji uznać nie chciała, a ja oświadczam paniczowi jak przed Bogiem — w niczym nie zawiniłem. Z Martynem Pietrowiczem inaczej postępować nie można, zupełnie już zdziecinniał. Nie możemy przecież spełniać jego wszystkich zachcianek. A szacunek mu okazujemy, jak się godzi. Niech panicz spyta choćby Eulampii Martynowny.

Eulampia stała nieruchomo. Zwykły, pogardliwy uśmiech błąkał się na jej wargach, a piękne oczy patrzyły niezyczliwie.

— A dlaczego sprzedał pan kobyłę Martyna Pietrowicza? (Oburzała mnie zwłaszcza sprawa tej kobyły, która znajdowała się w posiadaniu chłopca).

— Dlaczego sprzedałem tę kobyłę? Niech się panicz zmiłuje, a cóż ona była warta? Tylko darmo jadła siano. A chłop nią jeszcze może orać. A jeśli Martyn Pietrowicz zechce dokądś pojechać — to starczy, by nas tylko poprosił. Powozu mu nie odmawiamy. W dni nierobocze z przyjemnością!

— Włodzimierzu Wasiljewiczu! — głuchym głosem, nie ruszając się z miejsca powiedziała Eulampia, jak gdyby odwołując Sletkina. Owijała wokół palców łodygi rdestu i uderzając jedną o drugą odcinała im główki.

— Jeszcze co do hajduczka Maksymki — ciągnął Sletkin — Martyn Pietrowicz skarży się, że to myśmy go niby mu zabrali i oddali na naukę. Ale niech panicz sam powie, co on by robił u Martyna Pietrowicza? Bąki tylko by zbijał, więcej nic. Zresztą nie może służyć jak należy, jest głupi i za młody. A my oddaliśmy go na naukę do rymarza. Będzie z niego dobry majster — i jemu będzie lepiej, i nam będzie czynsz płacił. A w naszym małym gospodarstwie musimy wszystko wykorzystać!

„I tego człowieka Martyn Pietrowicz nazywał ścierką!” — pomyślałem. — A kto teraz czyta Martynowi Pietrowiczowi? — spytałem.

— Czyta? Ale co? Była tylko jedna książka, ale i ona gdzieś się zapodziała. A zresztą cóż to może być za czytanie — w jego wieku!

— A kto goli Martyna Pietrowicza? — pytałem z kolei. Sletkin roześmiał się z uznaniem, jakby w odpowiedzi na zabawny żart:

— Ależ nikt. Z początku przypalał sobie brodę świecą, a teraz po prostu ją zapuścił. I świetnie!

— Włodzimierzu Wasiljewiczu! — z naciskiem powtórzyła Eulampia. — Włodzimierzu Wasiljewiczu!

Sletkin dał jej znak ręką.

— Martyn Pietrowicz jest obuty, odziany, je to, co i my — czegoż mu więcej potrzeba? Przecie sam zapewniał, że nie chce nic więcej na tym świecie, że pragnie troszczyć się tylko o zbawienie swojej duszy. Niech by sobie chociaż zdał sprawę z tego, że teraz — bądź co bądź — wszystko należy do nas. Mówi także, że mu nie wypłacamy pieniędzy, ale my sami też nie zawsze mamy pieniądze, a zresztą, po co mu one, kiedy żyje sobie na gotowym? A my obchodzimy się z nim jak z ojcem — prawdę paniczowi mówię. Na przykład te pokoje, w których mieszka, na gwałt nam są potrzebne! Bez nich tak ciasno, że po prostu obrócić się trudno, a my — cóż — spokojnie znosimy te niewygody. Myślmy nawet o tym, żeby mu dostarczyć rozrywki. O, na Piotra i Pawła kupiłem mu w mieście wspa-a-a-niałe haczyki, prawdziwe angielskie, drogie haczyki! żeby sobie ryby łowił. W naszym stawie są karasie. Niechby sobie Martyn Pietrowicz posiedział nad stawem i przez godzinę, dwie, łowił — i rybna zupa gotowa. W sam raz zajęcie dla starego człowieka.

— Włodzimierzu Wasiljewiczu! — po raz trzeci zdecydowanym tonem rzekła Eulampia i odrzuciła daleko od siebie łądyżki trawy, które kręciła w palcach. — Odchodzę! — Jej wzrok spotkał się z moim spojrzeniem. — Odchodzę, Włodzimierzu Wasiljewiczu! — powtórzyła i znikła za krzakiem.

— Zaraz idę, Eulampio Martynowno, zaraz! — zawołał Sletkin. — Martyn Pietrowicz sam nas teraz chwali — ciągnął, zwracając się do mnie. — Z początku obrażał się, a nawet narzekał, zanim, wie panicz, nie zrozumiał — był to człowiek, jak panicz sam raczy sobie przypomnieć, porywczy i twardy, aż strach — no, a teraz zupełnie się zmienił. Zrozumiał, że tak będzie dla niego lepiej. Mamusia panicza — mój Boże — po prostu rzuciła się na mnie... Wiadomo — dziedziczka także dba o swoją władzę, niegorzej niż dawniej Martyn Pietrowicz, niechże panicz sam do nas zajdzie, popatrzy, a przy okazji szepnie słówko mamusi. Ja odczuwam wdzięczność wobec Natalii Nikołajewny, ale przecież i my jakoś musimy żyć.

— A w jaki sposób odmówiono Żytkowowi? — spytałem.

— Panicz myśli o Fieduliczu? Temu niedoładze? — Sletkin wzruszył ramionami. — Ależ paniczu, na cóż on by mógł się przydać? Całe życie służył w wojsku, a tu nagle zachciało mu się gospodarstwa. Mówił, że potrafi rozprawić się jak należy z chłopami. Że to niby przyzwyczał się bić po mordzie. Ale on nic nie potrafi. I po mordzie trzeba umieć bić. A Eulampia Martynowna sama dała mu kosza. Zupełnie się nie nadawał. Przy nim całe nasze gospodarstwo wzięliby diabli!

— Hej! hej! — rozległ się dźwięczny głos Eulampii.

— Zaraz! Zaraz! — odpowiedział Sletkin. Wyciągnął do mnie rękę, uściśnąłem ją, chociaż

niechętnie.

— Przepraszam uniżenie, Dymitrze Siemionowiczu — rzekł Sletkin, pokazując wszystkie swoje białe zęby. — Niech sobie panicz strzela słonki na zdrowie, to ptak przelotny, do nikogo nie należy, no, ale gdyby trafił się paniczowi zajaczek, to proszę go oszczędzić, to już nasza własność. Aha, jeszcze chciałem o coś spytać! Czy suczka panicza nie będzie przypadkiem miała małych? Bardzo bym był paniczowi wdzięczny!

— Hej, hej! — rozległo się znowu wołanie Eulampii.

— Hej, hej! — odkrzyknął Sletkin i rzucił się w krzaki.

XIX

Pamiętam, że gdy zostałem sam, zacząłem zastanawiać się nad tym, jak się to stało, że Charłow nie dał Sletkinowi tak, „żeby tylko mokra plama została na tym miejscu, gdzie się znajduje” — i że Sletkin nie lękał się podobnego losu? Widać Martyn Pietrowicz naprawdę „uspokoił się” — pomyślałem — i tym większa ogarnęła mnie ochota przedostać się do Ješkowa i choćby rzucić tylko okiem na tego kolosa, którego w żaden sposób nie mogłem sobie wyobrazić zastraszonego i pokornego. Doszedłem właśnie do skraju lasu, gdy nagle tuż spod moich nóg z głośnym szumem skrzydeł wyrwała się spora słonka i frunęła w głąb zagajnika. Wycelowałem; moja strzelba nie wypaliła. Sprawilo mi to wielką przykrość — ptak był bardzo piękny i postanowiłem spróbować, czy nie uda mi się go znowu wypłoszyć. Poszedłem w kierunku jego lotu i uszedłszy ze dwieście metrów ujrzałem na niewielkiej polance, pod rozłożystą brzozą — bynajmniej nie słonkę — lecz pana Sletkina. Sletkin leżał na wznak, obie ręce założył pod głowę i z uśmiechem zadowolenia spoglądał ku górze, w niebo, lekko kołysząc lewą nogą założoną na prawe kolano. Nie zauważył, że się zbliżam. Na polance, o kilka kroków od niego, powoli, ze spuszczonej ku ziemi oczyma przechadzała się Eulampia; zdawało się, że szuka czegoś w trawie — chyba grzybów — z rzadka pochylała się, wyciągała rękę i śpiewała coś półgłosem. Zatrzymałem się i zacząłem nasłuchiwać. Z początku nie mogłem zrozumieć, co właściwie śpiewa, ale potem z łatwością rozpoznałem następujące znane słowa starodawnej pieśni:

Nadciągnijże, nadciągnijże, chmuro czarna

I zabij że, i zabij że teścia mojego.

Spal piorunem, spal piorunem moją teściową,

A już żonę młodą zabiję ja sam!

Eulampia śpiewała coraz głośniej, szczególny nacisk położyła na ostatnie słowa. Sletkin leżał wciąż na wznak i śmiał się, a ona nieustannie jak gdyby wokół niego krążyła.

— Widzicie ją! — rzekł w końcu Sletkin. — Co to jej przychodzi do głowy!

— A co? — spytała Eulampia.

Sletkin z lekka uniósł głowę. — Co? A cóż ty tu wygadujesz?

— Sam wiesz przecież, Wołodia, że z pieśni nie można nawet słowa usunąć — odparła Eulampia, odwróciła się i ujrzała mnie.

Oboje krzyknęliśmy w jednej chwili i oboje rozbiegliśmy się w przeciwne strony.

Szybko wydostałem się z zagajnika i minawszy wążutką: polankę ujrzałem nagle przed sobą ogród Charłowa.

XX

Nie miałem kiedy — a zresztą było to bezcelowe — rozmyślać o tym, co widziałem. Przypomniało mi się tylko słowo „lubczyk”, które usłyszałem przed kilkoma dniami, a którego znaczenie bardzo mnie zastanowiło. Ruszyłem wzdłuż okalającego ogród płotu i po kilku chwilach ujrzałem spoza srebrzystych topoli (nie straciły ani jednego liścia, wyglądały okazale i błyszcząły w słońcu) podwórze i oficyny Martyna Pietrowicza. Cały folwark wydał mi się starannie utrzymany, wszędzie widać było ślady stałego i skrupulatnego nadzoru. Na ganku ukazała się Anna Martynówną i zmrużywszy swoje bladobłękitne oczy długo spoglądała w stronę zagajnika.

— Pana widziałeś? — spytała przechodzącego przez podwórze chłopą.

— Włodzimierza Wasiljewicza? — spytał chłop, ściągając z głowy czapkę. — Chyba poszedł do zagajnika.

— Wiem, że do zagajnika. A czy nie wracał? Nie widziałeś go?

— Nie widziałem... nie...

Chłop wciąż stał bez czapki przed Anną Martynówną.

— No, możesz iść — rzekła. — Albo czekaj no... Gdzie Martyn Pietrowicz? Nie wiesz?

— A... Martyn Pietrowicz — rzekł chłop śpiewnym głosem, podnosząc po kolei to prawą, to znów lewą rękę, jak gdyby gdzieś wskazywał — siedzi tam, nad stawem... z wędą. W trzcinie sobie siedzi z wędą. Ryby, czy co, łowi. Bóg jeden wie.

— No, dobrze... możesz odejść — powtórzyła Anna Martynówną — weź no tylko to koło, po co się poniewiera.

Chłop pobiegł, by wypełnić jej polecenie, ona zaś stała jeszcze przez kilka minut na ganku i wciąż spoglądała w stronę zagajnika. Potem powoli pogroziła ręką i z wolna wróciła do domu. — Aksiutka! — rozległ się za drzwiami jej władczy głos.

Anna Martynówną zdawała się rozdrażniona i niezwykle silnie zaciskała swoje i tak cienkie zazwyczaj wargi. Ubrana była niedbale i promień włosów z niezaplecionego warkocza spadał jej na ramię. Ale pomimo niedbałości stroju i rozdrażnionego wyglądu wydawała mi się jak dawniej pociągająca i z wielką ochotą ucałowałbym jej wąską, jak gdyby także złą rękę, którą dwukrotnie ze zniecierpliwieniem odrzuciła ów promień włosów spadający jej na ramię.

XXI

Czyżby Martyn Pietrowicz na stałe już zajął się rybołówstwem? — takie zadawałem sobie pytanie, idąc w kierunku stawu położonego po drugiej stronie ogrodu. Wszedłem na groblę, rozejrzałem się wokół... Martyna Pietrowicza nigdzie nie było widać. Ruszyłem wzdłuż brzegu i wreszcie nad niewielką zatoczką, wśród płaskich, połamanych prętów zrudziałego tataraku ujrzałem olbrzymią szarą grudę... Przyjrzałem się — był to Charłow. Bez czapki, z nastroszonymi włosami, w podartym płóciennym kaftanie siedział nieruchomo z podwiniętymi nogami na gołej ziemi. Siedział tak nieruchomo, że gdy się zbliżałem, mały bekas zerwał się z wyschniętego ładu w odległości dwóch kroków od miejsca, gdzie siedział Charłow, i uleciał nad lustro stawu poświsując i trzepocząc skrzydełkami. Widać od dawna nikt się w jego pobliżu nie poruszał i nikt go nie płoszył. Cała postać Charłowa wyglądała tak niezwykle, że moja suka, gdy tylko go ujrzała, zaryła się łapami w ziemię, podwinęła ogon i zawyla. Charłow z trudem odwrócił głowę i wbił w sukę i we mnie swój zdziwiający wzrok. Bardzo zmieniała jego wygląd broda, która choć krótka, była gęsta, kędzierzawa, pełna białych kosmyków, podobnych do sierści młodego jagnięcia. W prawej jego dłoni tkwiła rękojeść wędki, jej koniec z lekka kołysał się na wodzie. Serce mi zabiło, jednak zebrałem się na odwagę, podszedłem do niego i przywitałem się. Zwolna zamrugął powiekami, jakby wyrwany ze snu.

— Cóż to, Martynie Pietrowiczu — zacząłem — ryby pan łowi?

— Tak... ryby... — odparł chrapliwym głosem i szybkim ruchem wyciągnął wędkę, na której końcu zwisał kawałek nitki, długości arszyna — i bez haczyka.

— Sznurek się przerwał — zauważyłem i w tej samej chwili spostrzegłem, że obok Martyna Pietrowicza nie było ani konewki, ani też żadnego naczynia z robakami... A zresztą: co można złowić we wrześnieu?

— Przerwał się? — rzekł Martyn Pietrowicz i przeciągnął dłonią po twarzy. — Wszystko jedno!

Znów zarzucił swoją wędkę.

— Synek Natalii Nikołajewny? — spytał mnie może po dwóch minutach, podczas których przyglądałem mu się nie bez wewnętrznego zdumienia. Charłow, choć schudł bardzo, jednak nadal wydawał się olbrzymem, ale jakże nędznie był ubrany i jak się opuścił!

— Tak jest — odparłem. — Jestem synem Natalii Nikołajewny B.

— Zdrowa?

— Mama zdrowa. Bardzo się zmartwiła pańską odmową — dodałem. — Nie spodziewała się nigdy, że pan nie zechce do niej przyjechać.

Martyn Pietrowicz sposepniał.

— A tam... byłeś? — zapytał skinąwszy głową w bok.

— Gdzie?

— Tam... we dworze. Nie byłeś? Po co tu stoisz? Idź. Ze mną nie ma o czym mówić. Nie lubię.

Umilkł.

— A, ty byś tylko ze strzelbą biegał! Za młodych lat i ja to robiłem... Tylko że mój ojciec... a ja go szanowałem... i jak jeszcze! nie tak, jak dzieci obecnie. Wychłostał mnie szpicrutą — i koniec! Dość biegania! Dlatego też go szanowałem... O! tak...

Charłów znowu umilkł.

— A ty tu nie stój — zaczął znowu. — Lepiej poszedłbyś do dworu. Tam teraz gospodarstwo aż kwitnie. Wołodźka... — Charłów na chwilę zająknął się — Wołodźka pomaga mi, jak może. Dzielna z niego bestia!

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Martyn Pietrowicz mówił bardzo spokojnym głosem.

— Zobacz się z córkami. Pamiętasz chyba, że miałem córki. Z nich także gospodynie... I zręczne gospodynie. Jestem już stary, usunąłem się. Odpoczywam, rozumiesz!

„Ładny odpoczynek!” — pomyślałem spojrzawszy dokoła.

— Martynie Pietrowiczu — powiedziałem głośno. — Pan musi koniecznie do nas przyjechać.

Charłów spojrzał na mnie.

— Wiesz co? Odejdź stąd, mały!

— Niech pan nie zasmuca mamy, niech pan przyjedzie!

— Odejdź, mały, odejdź — powtarzał Charłów. — Po co masz ze mną rozmawiać?

— Jeśli pan nie ma powozu, to mama swój przyśle.

— Odejdź!

— Ależ naprawdę, Martynie Pietrowiczu!

Charłów znowu sposepniał i wydawało mi się, że jego pociemniałe, jakby ziemią pokryte policzki z lekka poczerwieniały.

— Naprawdę, niech pan do nas przyjdzie — ciągnąłem. — Po co pan tu siedzi, męczy się?

— Jak to męczy się? — spytał przeciągle.

— No tak, pan się tu męczy — powtórzyłem.

Charłów umilkł i jakby pogrążył się w zadumie. Ośmielony tym milczeniem postanowiłem być szczery i działać otwarcie, bez ogródek. (Pamiętajcie, że miałem zaledwie piętnaście lat).

— Martynie Pietrowiczu! — zacząłem, sadowiąc się obok niego. — Ja przecież wiem wszystko, absolutnie wszystko! Wiem o tym, jak postępuje z panem pański zięć, oczywiście za zgodą pańskich córek. I teraz znalazł się pan w takiej sytuacji... Ale nie trzeba rozpaczać!

Charłów wciąż milczał i tylko wypuścił z rąk wędkę, ale ja za to czułem się niesłuchanie mądrym człowiekiem, filozofem!

— Oczywiście — zacząłem znowu — postąpił pan nieostrożnie, oddając wszystko córkom. To było z pana strony bardzo wspaniałomyślne i nie mam zamiaru z tego powodu czynić panu wyrzutów. W naszych czasach wspaniałomyślność to tak rzadka cecha! A jeśli pańskie córki są

tak niewdzięczne — to pan powinien okazać im swoją pogardę... i nie martwić się...

— Przestań! — wyszeptał nagle Charłow, zgrzytając zębami, jego oczy wpatrzone w staw błysnęły groźnie... — Idź stąd!

— Ależ Martynie Pietrowiczu...

— Idź stąd, mówię... bo cię zabiję!

Rozmawiając przysunąłem się do niego bardzo blisko, ale gdy wymówił to ostatnie słowo, mimo woli zerwałem się na równe nogi. — Co pan powiedział, Martynie Pietrowiczu?

— Zabiję, mówię, idź stąd! — dziki jęk i wrzask wyrwał się z piersi Martyna Pietrowicza, ale on sam nie odwracał głowy i ze wściekłością patrzył prosto przed siebie.

— Wezmę i wrzucę cię do wody razem z twoimi wszystkimi głupimi radami — wtedy nauczysz się, co to znaczy dokuczać starym ludziom, ty smarkaczu!

„Zwariował!” — błysnęła mi myśl.

Przyjrzałem mu się uważniej i ostatecznie osłupiałem: Martyn Pietrowicz płakał. Łezka za łezką spływała z jego rzęs po policzkach... twarz przybrała wyraz zupełnej dzikości...

— Precz stąd! — krzyknął raz jeszcze — bo zabiję, na Boga! Żeby innych oduczyć!

Poderwał się całym ciałem w bok i wyszczerzył zęby jak dzik. Schwyciłem strzelbę i rzuciłem się do ucieczki. Suka szczekając pomknęła w ślad za mną. I ona też się przelękała.

Wróciwszy do domu nie wspomniałem mamie ani słówka o tym, co widziałem, ale gdy spotkałem Suwenira, opowiedziałem mu wszystko, diabli wiedzą po co. Ten obrzydliwy człowiek usłyszawszy moje opowiadanie tak piskliwie chichotał, a nawet podskakiwał z radości, że omal go nie pobilem.

— Ach! Popatrzyłbym sobie — powtarzał Suwenir, dusząc się ze śmiechu — jak to ten potwór, ten *wszed* Charlus wlaź w błoto i siedzi w nim...

— Niech pan idzie do niego nad staw, jeśli pan taki ciekawy.

— Tak, a jeżeli mnie zabije?

Dość miałem Suwenira i żałowałem swojego niepotrzebnego gadulstwa... Żytkow, któremu Suwenir powtórzył moje opowiadanie, miał nieco inny pogląd na całą sprawę.

— Trzeba będzie zwrócić się do policji — postanowił — a może nawet będziemy musieli wezwać oddział wojska.

Jego przewidywania co do konieczności wezwania oddziału wojska nie sprawdziły się, ale wydarzyło się za to coś rzeczywiście niezwykłego.

XXII

W połowie października, w trzy tygodnie po moim spotkaniu z Martynem Pietrowiczem, stałem w oknie mojego pokoju, na pierwszym piętrze naszego domu, i nie myśląc o niczym posepnie spoglądałem na dziedziniec i na ciągnącą się opodal drogę. Od pięciu dni trwała obrzydliwa pogoda, o polowaniu nie było nawet co marzyć! Wszystko, co żyło, pochowało się,

nawet wróble ucichły, a gawrony znikły już dawno. Wiatr to wyl głucho, to świszczął, zrywając się gwałtownie. Niskie niebo zaciągnięte chmurami, przez które nie było widać ani kawałka błękitu, zmieniało barwę i z brudno-białego stawało się ołowiane, jeszcze bardziej złowieszcze, a deszcz, który padał, padał ustawicznie, bez przerwy, nagle stawał się jeszcze gęstszy, zacinął jeszcze ukośniej i z ostrym brzękiem spływał po szybach. Drzewa rozwichrzyły się i poszarzały, zdawało się, że już nie ma co z nich strząsać, ale wiatr co chwila znowu je zaczynał szarpać. Wszędzie stały kałuże, zasypane żółkłymi liśćmi; na ich powierzchni, pękając, to znowu wzdymając się, wyskakiwały i płynęły spore pęcherzyki powietrza. Na drogach błoto było po kolana, chłód przenikał do pokojów, pod ubrania, przejmował aż do kości, mimowolny dreszcz wstrząsał ciałem i ciężar kładł się na sercu!

Właśnie ciężar — nie smutek. Zdawało się, że już nigdy nie będzie na świecie ani słońca, ani blasku, ani barw, że wiecznie będzie trwał ten ulewny deszcz i oślizgłe błoto, i przykra szara wilgoć, że wiatr będzie wiecznie świszczął i zawodził. Stałem więc w oknie pogrążony w rozmyśleniach i pamiętam, że nagle świat okryła granatowa ciemność — choć zegar wskazywał dopiero godzinę dwunastą. Nagle wydało mi się, że przez nasz dziedziniec — od bramy do ganku — przebiegł niedźwiedź! Co prawda nie na czterech łapach, ale tak jak go rysują, gdy podniesie się na tylne łapy. Nie wierzyłem własnym oczom. Jeśli nawet to, co widziałem, nie było niedźwiedziem, to w każdym razie ujrzałem coś olbrzymiego, czarnego, kudłatego... Nie zdążyłem jeszcze zdać sobie sprawy z tego, co by to być mogło, gdy nagle rozległ się na dole piekielny hałas. Zdawało się, że coś zupełnie nieoczekiwanego, coś strasznego wwalilo się w nasz dom. Wszczął się zamęt, bieganina...

Szybko zbiegłem po schodach i wpadłem do jadalni...

Na progu salonu, twarzą ku mnie, stała jak wryta moja matka, za nią widać było kilka przestraszonych kobiecych twarzy, ochmistrz, dwaj lokaje, hajduczek z otwartymi ze zdumienia ustami tłoczyli się u drzwi przedpokoju, na środku zaś jadalni, pokryty błotem, potargany, w łachmanach, mokry do tego stopnia, że para buchała z niego wokół, a woda strumyczkami płynęła po podłodze, klęczał, ciężko kołysząc się i jakby omdlewając, ten sam potwór, który w moich oczach przemknął przez dziedziniec! I kimże był ów potwór? Był to Charłow! Podeszedłem z boku i ujrzałem — nie jego twarz — lecz głowę, którą objął dłońmi, trzymając się za zlepione błotem włosy. Dyszał ciężko, nerwowo, coś nawet bulgotało w jego piersi — i w tej całej zabryzganej błotem bryle można było wyraźnie rozróżnić tylko malutkie, dziko połyskujące białka oczu. Wyglądał strasznie! Przypomniałem sobie tego dygnitarza, którego Charłow niegdyś zmusił do milczenia za porównanie z mastodontem. Rzeczywiście — tak mogło wyglądać tylko jakieś zwierzę przedpotopowe, co umknęło innemu, silniejszemu zwierzęciu, które napadło na nie wśród odwiecznego ładu pierwotnych bagien.

— Martynie Pietrowiczu! — wykrzyknęła wreszcie moja matka i załamała ręce. — Czy to ty? Boże miłosierny!

— To ja... to ja... — dał się słyszeć przerywany głos; Martyn Pietrowicz jakby z bólem i wysiłkiem wyrzucał z piersi każdy dźwięk. — Och! To ja!

— Ale co ci się stało, na miłość boską?

— Natalio Nikołajew...no... ja do pani... prosto z domu ucie...kłem... pieszo...

— Po takim błocie! Przecież jesteś niepodobny do człowieka. Wstań, usiądźże przynajmniej... A wy — zwróciła się moja matka do pokojówek — czym prędzej biegnijcie po ręczniki. Czy nie ma tam gdzie jakiegoś suchego ubrania? — spytała ochmistrza.

Ochmistrz ruchem rąk pokazał, że gdzieżby... na taki wzrost.

— A zresztą można przynieść pled — oświadczył — a jeśli nie, to jest przecież nowa derka na konia.

— Wstańże, wstań, Martynie Pietrowiczu, i usiądź na krześle! — powtarzała moja matka.

— Wypędzili mnie, pani dobrodziejko — wyjęczał nagle Charłow. Głowę odrzucił w tył, a ręce wyciągnął przed siebie. — Wypędzili, Natalio Nikołajewno! Rodzone córki z rodzinnego gniazda...

Moja matka wydała okrzyk zgrozy.

— Co ty mówisz? Wypędzili cię! Wielki grzech, wielki grzech! (Przeżegnała się). Wstań tylko, Martynie Pietrowiczu, proszę cię, wstań!

Dwie pokojówki weszły niosąc ręczniki i stanęły przed Charłowem. Widać było, że nie wiedziały, jak się zabrać do takiej bryły błota. — Wypędzili mnie, wypędzili — powtarzał bezradnie Charłow. Spoza drzwi wysunęła się główka Suwenira i natychmiast znikła.

— Martynie Pietrowiczu! Wstań! Usiądź na krześle i opowiedz mi wszystko po kolei — stanowczym tonem wydała polecenie moja matka.

Charłow zwolna podnosił swoje ciężkie ciało... Ochmistrz chciał mu pomóc, ale tylko pobrudził sobie rękę i strzepując palce odsunął się ku drzwiom. Przewalając się z boku na bok, Charłow chwiejnym krokiem dotarł wreszcie do krzesła i usiadł. Pokojówki znów zbliżyły się ku niemu z ręcznikami, ale on ruchem ręki kazał im odejść i nie pozwolił okryć się pledem. Zresztą moja matka przestała na to nalegać. Było jasne, iż wysuszenie Charłowa jest rzeczą niemożliwą; tylko naprędce wytarto ślady, które pozostawił na podłodze.

XXIII

— Jak się to stało, że cię wypędzili? — zapytała moja matka, gdy tylko Charłow trochę „odsapnął”.

— Pani dobrodziejko! Natalio Nikołajewno — zaczął Charłow z wysiłkiem i znowu zastanowiło mnie niespokojne bieganie białek jego oczu — powiem prawdę: najbardziej winien jestem ja!

— A widzisz, właśnie, wtedy nie chciałeś mnie słuchać — powiedziała moja matka opadając na fotel i z lekka powiewając przed nosem naperfumowaną chusteczką: od Charłowa bił zapach

zbyt ostry... nawet bagno leśne nie wydaje tak silnego zapachu.

— Och, nie tym zawiniłem, dobrodziejko, wszystkiemu winna pycha. Pycha mnie zgubiła,, jak nie przymierzając cesarza Nabuchodonozora. Myślałem sobie — nie poskąpił mi Pan Bóg rozumu, więc jak coś postanowiłem, to znaczy, że tak powinno być... a tu tymczasem strach, śmierć blisko... Zupełnie mnie to zbiło z pantałyku! No, myślę sobie, pokażę na ostatku swoją siłę i władzę! Wynagrodzę je — a one aż po grób powinny odczuwać... (Nagle Charłów cały się zatrząsł). Kopniakiem, jak psa parszywego, wypędzili mnie z domu! Taka to ich wdzięczność!

— Ale w jaki sposób? — znów chciała zapytać moja matka...

— Zabrali ode mnie hajduczka Maksymkę — przerwał jej Charłów (jego oczy nie przestawały biegać niespokojnie, podbródek wspierał na splecionych dłoniach) — powóz odebrali, produktów dawali mniej niż należało, umówionej pensji nie wypłacali, we wszystkim podskubywali, a ja milczałem, znosiłem wszystko cierpliwie! A znosiłem... och!... znosiłem to wszystko przez moją pychę. Żeby nie mówili moi wrogowie: „Tak, tak, stary głupiec, teraz żałuje.” Zresztą i pani dobrodziejka pamięta, że mnie przecież ostrzegła, mówiła: „Nie zobaczysz wdzięczności, jak własnych uszu!” No i znosiłem wszystko cierpliwie... Tymczasem wchodzę dziś do mojego pokoju — a on już zajęty i moją pościel lichą wrzucili do komórki! Że to niby tam też możesz spać i tak z litości cię trzymamy, a twój pokój potrzebny nam w gospodarstwie. I to wszystko mi powiedział — kto? — Wołodźka Sletkin, ten cham obrzydli... Głos Charłowa załamał się.

— Ale twoje córki? Co one na to? — spytała moja matka.

— A ja wszystko znosiłem cierpliwie — ciągnął Charłów swoje opowiadanie — gorzko mi było, och, jak gorzko, i wstyd... Na świat boży wstyd mi było patrzeć. Dlatego nie chciałem do pani przyjechać, dobrodziejko, z tego to właśnie wstydu, z tej hańby! Przecież, dobrodziejko moja, wszystkiego próbowałem, i prośbą, i groźbą, i zaklęciami, i nawet w pas się im kłaniałem, o, tak! (Charłów pokazał, jak się kłaniał). I wszystko na próżno! I wszystko to znosiłem! Z początku, w pierwszych dniach, myślałem inaczej: wezmę, powiadam sobie, kamienia na kamieniu nie zostawię, żeby nawet śladu nie było... Popamiętaj! No, a potem pogodziłem się z losem! Ten krzyż, myślę sobie, mi zesłano, to znaczy, że trzeba się przygotować na śmierć. I nagle, dziś, jak psa! I kto? Wołodźka! Pani raczyła mnie spytać o córki, ale czy one mają swoją wolę? To niewolnice Wołodźki! Tak!

Moja matka zdziwiła się:

— Co do Anny, to mogę jeszcze zrozumieć, jest jego żoną... Ale z jakiej racji twoja druga...

— Eulampia? Gorzej niż Anna! Cała, jak stoi, oddała się w ręce Wołodźki. Z tego powodu odmówiła paninemu oficerowi. Na jego rozkaz, na rozkaz Wołodźki! Anna, oczywiście, powinna by się obrazić, zresztą ona znieść siostry nie może, ale godzi się ze wszystkim. Zadał im coś, przeklęty! Jej, Annie, chyba przyjemnie pomyśleć, że ta Eulampia, taka zawsze harda, a teraz co się z nią stało! Och, och, och! Boże, mój Boże!

Matka popatrzyła na mnie z niepokojem. Usunąłem się nieco w bok, by mi przypadkiem nie kazano wyjść z pokoju...

— Bardzo żałuję, Martynie Pietrowiczu — zaczęła moja matka — że mój były wychowanek wyrządził ci tyle złego i okazał się takim niedobrym człowiekiem, ale i ja się przecież co do niego pomyliłam... Któż się mógł po nim tego spodziewać!

— Pani dobrodziejko — wyjęczał Charłow i uderzył się w piersi — nie mogę ścierpieć niewdzięczności moich córek! Przecież wszystko, wszystko im oddałem! I w dodatku sumienie mnie zadręczyło. Wiele, wiele przemyślałem, siedząc nad stawem i łowiąc ryby! Gdybym przynajmniej zrobił komu w życiu co dobrego! — myślałem sobie — biednym pomagał, chłopów uwolnił za to, że wiek cały ich męczyłem! Przecież odpowiem za nich przed samym Panem Bogiem! Teraz ich łyżę mnie dławia! A jaki teraz będzie los moich córek? Już wtedy za moich rządów, przepaść — co tu grzechy ukrywać — była głęboka, a teraz nawet dna nie widać. Te wszystkie grzechy wzięłem na siebie, sumienia dla dzieci się zapałem i za to wszystko figę dostałem! Z domu mnie kopniakiem wyrzucili jak psa!

— Przestań o tym myśleć, Martynie Pietrowiczu — rzekła moja matka.

— I kiedy on mi powiedział, ten panin Wołodźka — z przyływem nowych sił ciągnął Charłow — kiedy mi powiedział, że dłużej nie wolno mi już mieszkać w tej mojej izdebce, a ja w tej izdebce każdą belkę kładłem własnymi rękami, kiedy mi to powiedział — to Bóg jeden wie, co się ze mną działo! W głowie mi się zakręciło, jakby mi kto nóż w serce... No, cóż! Albo jego zarznąć, albo precz z domu! Więc przybiegłem do pani, „moja dobrodziejko, Natalio Nikołajewno... gdzie miałem głowę złożyć? A tu deszcz, błoto... Może z dwadzieścia razy padałem! I teraz... w takim stanie...

Charłow spojrzął po sobie i zaczął się kręcić na krześle, jakby zamierzał wstać.

— No, dobrze, już dobrze, przestań, Martynie Pietrowiczu — pośpiesznie rzekła moja matka — i cóż to za nieszczęście? żeś podłogę zbrudził? Wielkie rzeczy! Ale chcę ci coś zaproponować. Słuchaj! Zaprowadzą cię teraz do oddzielnego pokoju, dadzą czystą pościel, rozbierz się, umyj, połóż się i zaśnij...

— Dobrodziejko moja, Natalio Nikołajewno! Ja nie zasnę! — ponuro powiedział Charłow — w głowie mi huczy jakby kto młotem walił! Przecież mnie niby jakiego nędznego robaka...

— Połóż się, zaśnij — nalegała moja matka. — A potem napijesz się herbaty i porozmawiamy. Nie martw się, stary przyjacielu! Jeśli ciebie wypędzili z *twojego* domu, to w *moim* domu zawsze znajdziesz przytułek... Przecież nie zapomniałam, że uratowałeś mi życie.

— Dobrodziejko moja! — zajęczał Charłow i zakrył twarz dłońmi. — Niech pani mnie teraz ocali!

To wezwanie rozczuliło moją matkę niemal do łez.

— Gotowa jestem ci pomóc, Martynie Pietrowiczu, we wszystkim, w czym tylko mogę, ale musisz mi obiecać, że będziesz mnie teraz słuchał i że odpędzisz od siebie wszelkie złe myśli.

Charłow odjął dłonie od twarzy.

— Jeśli trzeba — rzekł — to przecież mogę nawet przebaczyć!

Moja matka kiwnęła głową na znak pochwały.

— Bardzo się cieszę, że cię widzę w takim prawdziwie chrześcijańskim usposobieniu, Martynie Pietrowiczu. Ale o tym pomówimy później. Tymczasem doprowadź się do porządku, a przede wszystkim — zaśnij. Zaprowadź Martyna Pietrowicza do zielonego gabinetu nieboszczyka pana — zwróciła się moja matka do ochmistrza — i żeby natychmiast było wszystko, czego tylko zażąda! Każ wysuszyć i oczyścić jego ubranie, a bieliznę, jakiej tylko będzie trzeba, weź od klucznicy, słyszysz?

— Słucham pani! — odpowiedział ochmistrz.

— A jak się zbudzi, to każ, żeby mu krawiec wziął miarę, a brodę też trzeba będzie zgolić. Nie teraz, potem.

— Słucham pani! — powtórzył ochmistrz. — Martynie Pietrowiczu, proszę...

Charłow wstał, popatrzał na moją matkę, chciał podejść do niej, ale zatrzymał się, pokłonił się w pas, trzykrotnie przeżegnał się przed ikoną i wyszedł wraz z ochmistrzem. Za nim i ja wymknąłem się z pokoju.

XXIV

Ochmistrz wprowadził Charłowa do zielonego gabinetu i natychmiast pobiegł po klucznicę, ponieważ okazało się, że pościel jest niepowleczone. Suwenir, który spotkał nas w przedpokoju i razem z nami wbiegł do gabinetu, zaczął natychmiast, strojąc miny i chichocząc, kręcić się dookoła Charłowa. Martyn Pietrowicz z lekka rozstawiwszy nogi i rozłożywszy ręce stał w zamyśleniu na środku pokoju. Woda nie przestawała z niego ściekać!

— *Wszed! Wszed* Charlus! — pisał Suwenir zgiąwszy się we dwoje i trzymając się za boki.

— Wielki protoplasto świetnego rodu Charłowów, wejrzyj na swojego potomka! Jaki on jest? Czy możesz się do niego przyznać? Cha — cha — cha! Wasza wielmożność, niech wasza wielmożność raczy pozwolić rączkę! Dlaczego to wasza wielmożność nosi czarne rękawiczki?

Chciałem powstrzymać, zawstydzić Suwenira... ale gdzie tam!

— Nazywał mnie rezydentem, darmozjadem! „Nie masz”, mówił, „własnego dachu nad głową”. A teraz sam został rezydentem jak i ja, grzesznik! Czy Martyn Charłow, czy Suwenir, łądak — teraz to obojętne! Teraz też będziesz jadł, co ci dadzą z litości! Podniosą skórkę chleba z podłogi, taką, co to ją pies wachał i zostawił... Masz, powiedzą, jedz! Cha — cha — cha!

Charłow wciąż stał nieruchomo, z głową wetkniętą między ramiona, z rozstawionymi nogami i zwisającymi rękami.

— Martyn Charłow! Szlachcic rodowy! — Nie przestawał pisać Suwenir. — Jaki to był ważny! Ani przystęp! Bez kija nie podchodź! A jak majątek swój z nadmiaru rozumu zaczął rozdawać i dzielić, wtedy dopiero język na całego rozpuścił! „Wdzięczność!”, wołał,

„Wdzięczność!” A mnie za co skrzywdził? Nie wynagrodził? Ja może bym się lepiej wywdziękzył! Więc prawdę mówiłem, że gołym...

— Suwenir! — krzyknąłem, ale Suwenir nie chciał się uspokoić, Charłow wciąż stał nieruchomo, zdawało się, że dopiero teraz zaczyna odczuwać, jak bardzo mokra jest jego odzież, i czeka, kiedy to wszystko z niego zdejną. Ale ochmistrz nie wracał.

— I w dodatku wojak z niego nie byle jaki! — zaczął znowu Suwenir. — W dwunastym roku ocalił ojczyznę! Pokazał, jaki to on dzielny! Właśnie, właśnie, z zamarzniętych maruderów portki ściągać, to potrafimy, a jak dziewczucha na nas nogą tupnie, to nam samym dusza w portki...

— Suwenir! — zawołałem powtórnie.

Charłow z boku spojrzał na Suwenira; do tej chwili jakby nie zauważył nawet jego obecności i dopiero mój krzyk zwrócił jego uwagę.

— Uważaj, bratku — zawarczał głucho — żebyś się jakiej biedy nie dopytał.

Suwenir aż się zatoczył ze śmiechu:

— Och! ale mnie przestraszyłeś, czcigodny szwagrze! Straszny jesteś, doprawdy! Przynajmniej przyczesalbyś sobie włoski, bo, uchowaj Boże, błoto na nich zaschnie i potem trudno będzie odmyć. Trzeba będzie je skosić. — Suwenir nagle się rozzłościł. — Odważnego udaje jeszcze, patrzcie go! Golec, a jaki śmiały! Powiedz mi lepiej, gdzie teraz twój dach nad głową. Wciąż się nim chwaliłeś! Ja mam dach nad głową, a ty jesteś bezdomny! Ja mam swój dziedziczny dach nad głową! (Suwenir zapamiętał sobie dobrze to słowo!).

— Panie Byczkow — rzekłem — Co pan robi? Niech się pan opamięta.

Ale Suwenir nie przestawał paplać i wciąż skakał i wiercił się tuż koło Charłowa... A ochmistrz z klucznicą nie nadchodzili!

Czułem niepokój. Zaczynałem dostrzegać, że Charłow, który podczas rozmowy z moją matką stopniowo się uspokajał i nawet pod koniec pogodził się zapewne ze swoim losem, znów wpadł w stan rozdrażnienia, oddychał szybciej, pod uszami pojawiła się jakby opuchlizna, palce zaczęły się poruszać, oczy znowu zaczęły biegać w ciemnej masce zbryzganej błotem twarzy...

— Suwenir! Suwenir! — zawołałem. — Niech pan przestanie, bo powiem mamie!

Ale w Suwenira jakby diabeł wstąpił.

— Tak, tak, najczcigodniejszy! — zaczął znowu paplać — oto w jakiej to delikatnej sytuacji teraz się znajdujemy! A twoje córeczki z twoim zięciem, Włodzimierzem Wasiljewiczem, pod twoim dachem naigravaju się z ciebie do woli! I gdybyś ich chociaż przeklął, zgodnie z obietnicą! Ale i na to cię nie stać! Zresztą, gdzieby ci się tam z Włodzimierzem Wasiljewiczem po sądach wodzić! Nazwałś go Wołodźką, ale jaki on dla ciebie Wołodźka! Włodzimierz Wasiljewicz, pan Sletkin, ziemianin, pan, a ty — kim właściwie jesteś?

Wściekły ryk zagłuszył przemówienie Suwenira... Charłowa rozsadziło. Zacisnął pięści i uniósł je ku górze, twarz mu zsiniała, na popękanych wargach pokazała się piana; kipiał z wściekłości.

— Dach nad głową, powiadasz — zagrzmiał swoim spiżowym głosem — przekleństwo! powiadasz... Nie, ja ich nie przeklnę...

To im nie straszne! Ale dach... dach nad głową ja im zniszczę i nie będą mieli dachu nad głową, tak jak i ja go nie mam! Dowiedzą się, kim jest Martyn Pietrowicz! Nie utraciłem jeszcze swojej siły! Dowiedzą się, co to znaczy znęcać się nade mną! Nie będą mieli dachu nad głową!

Zdrętwiałem, nigdy jeszcze dotąd nie byłem świadkiem tak bezmiernego gniewu. Nie człowiek, ale dzikie zwierzę miotało się przede mną! Zdrętwiałem... a Suwenir ze strachu aż się schował pod stół.

— Nie będą mieli dachu nad głową! — krzyknął Charłow po raz ostatni i omal nie zwaliwszy z nóg wchodzącego ochmistrza i klucznicy wybiegł z domu... W oka mgnieniu przetoczył się przez dziedziniec i znikł za bramą.

XXV

Moja matka wpadła w gniew, gdy strapiony ochmistrz przyszedł zameldować o nowej i niespodziewanej ucieczce Martyna Pietrowicza. Ochmistrz nie odważył się ukryć przyczyny tej ucieczki, a ja byłem zmuszony potwierdzić jego słowa.

— Więc to ty, to ty! — krzyknęła moja matka na Suwenira, który ukradkiem do niej podbiegł i chciał nawet pocałować w rękę. — Wszystkiemu winien ten twój obrzydliwy jęzor!

— Niech mi pani wybaczy, ja *zyraz, zyraz...* — wymamlał jękając się i chowając łokcie za siebie Suwenir.

— *Zyraz, zyraz...* znam ja już twoje *zyraz* — powtórzyła moja matka z wyrzutem i kazała mu wynosić się z pokoju. Potem zadzwoniła, kazała wezwać Kwicińskiego i poleciła mu, by niezwłocznie ruszył powozem do Ješkowa, za wszelką cenę odnalazł Martyna Pietrowicza i przywiózł go z powrotem.

— Bez niego niech się pan tu nie pokazuje! — zakończyła.

Posępny Polak w milczeniu schylił głowę i wyszedł.

Wróciłem do swojego pokoju, znowu przysiadłem w oknie i pamiętam, że długo rozmyślałem o wydarzeniu, którego byłem świadkiem. Byłem zdziwiony, nie mogłem w żaden sposób pojąć, dlaczego Charłow, który prawie bez skargi znosił zniewagi ze strony swoich domowników, nie mógł zapanować nad sobą i nie zniósł drwin takiej nędznej istoty, jaką był Suwenir. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, jaką nieznośną gorycz może zawierać niekiedy byle wyrzut, nawet wtedy, gdy wymawiają go nikiemne usta... Znienawidzone nazwisko Sletkina wypowiedziane przez Suwenira było iskrą rzuconą na beczkę prochu; wrzód, który się zebrał, nie zniósł tego ukłucia.

Minęła prawie godzina. Nasza kolaska wjechała na dziedziniec, ale siedział w niej tylko nasz rządcą. A mama powiedziała mu: „Bez niego niech się pan nie pokazuje!”

Kwiciński pośpiesznie wyskoczył z kolaski i wbiegł na ganek. Na jego twarzy malował się

niepokój, co prawie nigdy mu się nie zdarzało.

Natychmiast zbiegłem po schodach i tuż za Kwicińskim poszedłem do salonu.

— No, co, przywiózł go pan? — spytała moja matka.

— Nie przywiozłem — odparł Kwiciński — nie mogłem go przywieźć.

— A to dlaczego? Czy pan go widział?

— Widziałem.

— Może mu się coś stało? Apopleksja?

— Nie, nic się nie stało.

— Dlaczego więc pan go nie przywiózł?

— Bo on burzy swój dom.

— Co takiego?

— Stoi na dachu nowej oficyny i burzy go. Należy przypuszczać, że chyba ze czterdzieści, a może więcej gontów już spadło, krokwi także z pięć. („Dachu nad głową nie będą mieli!” — przypomniałem sobie słowa Martyna Pietrowicza). Moja matka wlepiała wzrok w Kwicińskiego.

— Sam stoi na dachu i burzy dach?

— Tak jest. Chodzi po deskach strychu i łamie wszystko na lewo i na prawo. A siłę ma, jak pani dobrodziejka wie, nadludzka! No, i prawdę mówiąc, dach marny, gonty ułożone rzadko, odstępy kryte cienkimi deseczkami, gwoździe na półtora wierszka.

Mama popatrzyła na mnie, jakby pragnęła się upewnić, że się nie przesłyszała.

— Deseczkami... rzadko ułożone... — powtórzyła; było widać, że nie rozumiała znaczenia ani jednego z tych słów...

— No więc, czego pan chce? — rzekła wreszcie.

— Przyjechałem po instrukcje. Bez ludzi nic nie zrobię. Tamtejsi chłopcy wszyscy pochowali się ze strachu.

— A co na to jego córki?

— A córki — nic. Biegają tam i sam... zawodzą... Co to pomoże?

— Czy Sletkin też tam jest?

— Też. Biada głośniejszy niż wszyscy, ale nic nie może zrobić.

— I Martyn Pietrowicz stoi na dachu?

— Na dachu, to znaczy na strychu — i burzy dach.

— Tak, tak — rzekła moja matka. — Deseczkami... Był to *casus* rzeczywiście niezwykły.

Co czynić w takiej sytuacji? Posłać do miasta po sprawnika, zebrać chłopów? Moja matka była zupełnie bezradna.

Żytkow, który przyjechał na obiad, także nie wiedział, co począć. Wspomniał co prawda znowu o oddziale wojska, ale poza tym nie dawał żadnych rad i tylko patrzył na moją matkę służyście i z oddaniem. Kwiciński, widząc, że nie uda mu się otrzymać żadnych instrukcji, z właściwym sobie pogardliwym szacunkiem oświadczył mojej matce, iż jeśli pozwoli mu wziąć ze

sobą kilku stajennych, ogrodników i innych dworskich, to on postara się...

— Tak, tak — przerwała mu moja matka — niech się pan postara, drogi Wincenty Osipowiczu! Tylko prędzej, proszę, a ja biorę na siebie całą odpowiedzialność.

Kwiciński uśmiechnął się chłodno:

— Niech tylko pani dobrodziejka pozwoli sobie najpierw objaśnić jedną rzecz — za rezultat ręczyć nie można, siła bowiem i desperacja pana Charłowa jest ogromna, czuje się już nazbyt obrażony!

— Tak, tak! — podchwyciła moja matka — wszystkiemu winien ten wstrętny Suwenir! Nigdy mu nie wybaczę! Wincenty Osipowiczu, proszę, niech pan weźmie ze sobą ludzi i rusza w drogę.

— Niech pan, panie rządco, weźmie jak najwięcej sznurów i haki strażackie — rzekł basem Żytkow — a jeśli jest siatka, to i siatkę warto by zabrać. Pewnego razu w naszym pułku...

— Zechce mnie pan nie uczyć, łaskawy panie — przerwał mu z oburzeniem Kwiciński — bez pana wiem, co trzeba — Żytkow obraził się i oświadczył, że ponieważ sądził, iż jego też wezmą...

— Nie, nie — wtrąciła się moja matka. — Ty już lepiej zostań, zostań... Niech Wincenty Osipowicz działa sam... Niech pan już idzie, Wincenty Osipowiczu!

Żytkow poczuł się jeszcze bardziej dotknięty, Kwiciński zaś skłonił się i wyszedł. Pobiegłem natychmiast do stajni, potem pośpiesznie osiodłałem mojego wierzchowca i galopem puściłem się w drogę do Ješkowa.

XXVI

Deszczyk ustał, ale wiatr dął ze zdwojoną siłą prosto w oczy. Gdy przejechałem połowę drogi, siodło pode mną omal się nie zsunęło: osłabł popręg, zszedłem z konia, zacząłem zębami naciągać rzemienie... Nagle usłyszałem, że ktoś woła mnie po imieniu... Suwenir biegł ku mnie po wschodzącej oziminnie.

— No i cóż, ojczulku — wołał do mnie z daleka — ciekawość cię ogarnęła, co? Nie można przecież nie... I ja tam też biegnę prościutko po śladach Charłowa... Życie można przeżyć, a takiej historii się nie zobaczy!

— Chce się pan przyjrzeć dziełu własnych rąk — rzekłem z oburzeniem, wskoczyłem na konia i znów pogałem go galopem, ale niezmordowany Suwenir nie dał się wyprzedzić i nawet w biegu chichotał i wykrzywił twarz. Wreszcie ujrzałem Ješkowo — groblę, a dalej długi żywopłot i wierzbowy zagajnik wokół dworu... Podjechałem ku bramie, zszedłem z konia, przywiązałem go i przystanąłem zdumiony.

Z przedniej części dachu pokrywającego oficynę, z facjaty zostało tylko rusztowanie; gonty i deski leżały po obu stronach oficyny, w bezładnych stosach. Nawet jeśli dach, jak się wyraził Kwiciński, był istotnie marny, jednakże to, co ujrzałem, było niewiarogodne! Po strychu, wzbijając tumany pyłu i śmieci, szybko, niezgrabnie poruszała się czarno-bura masa, to starała się rozkołysać stojący jeszcze, zbudowany z cegły komin (drugi już się zwałił), to zdzierała deski i

zrzucała je na ziemię, to znów chwyciła za krokwie. Był to Charłow. Wydał mi się zupełnie jak niedźwiedź: i głowa, i plecy, i ramiona były niedźwiedzie; nogi stawał szeroko, nie zginając stóp — także jak niedźwiedź. Ostry wiatr owiewał go ze wszystkich stron, wzdymając jego zmierzwione włosy; strach ogarniał, gdy przez dziury w porwanej odzieży widać było, jak się miejscami czerwieni jego nagie ciało. Na podwórzu było pełno: baby, mali chłopcy, dziewczki folwarczne tłumnie obiegiły płot, opodal kilku chłopów zbiło się w oddzielną gromadę. Znajomy mi staruszek pop — stał bez kapelusza na ganku sąsiedniej oficyny i uchwyciwszy obiema rękami miedziany krzyż co pewien czas wznosił go beznadziejnie w milczeniu i jakby pokazywał Martynowi Pietrowiczowi. Obok popa stała Eulampia i oparłszy się plecami o ścianę nieruchomo patrzyła na ojca; Anna zaś to wysuwała głowę z okienka, to znów zniknęła, to wybiegała na podwórze, to znów wracała w głąb domu; Sletkin — z twarzą bladą, poźółkłą, odziany w stary szlafrok, w okrągłej czapeczce na głowie, z jednorurką w ręku — drobnym krokiem przebiegał z miejsca na miejsce. Zupełnie, jak się to mówi, zgłupiał, stracił oddech, groził, trząsł się, mierzył w Charłowa, potem zarzucał broń na ramię, znowu celował, krzyczał, płakał... Ujrzawszy mnie i Suwenira rzucił się ku nam natychmiast.

— Patrzcie, patrzcie, co się tu dzieje! — krzyczał przejmującym głosem — patrzcie! On oszalał, wściekł się... patrzcie, co on robi! Posłałem już po policję, ale jeszcze ich nie ma! Jeszcze ich nie ma! Jeśli do niego strzelę, to nie będę za to prawnie odpowiadał, bo każdy człowiek ma prawo bronić swojej własności! A ja strzelę... Na Boga, strzelę!

Pobiegł w stronę domu.

— Martynie Pietrowiczu! Niech pan się strzeże! Jeśli pan nie zejdzie, to będę strzelał!

— Strzelaj! — rozległ się z dachu ochrypły głos. — Strzelaj! A tymczasem masz tu podarunek!

Długa deska przekreśliwszy się dwukrotnie w powietrzu, gruchnęła o ziemię tuż u stóp Sletkina. Ten aż odskoczył, a Charłow roześmiał się głośno.

— Jezu — wyjąkał ktoś za moimi plecami. Obejrzałem się: był to Suwenir. „Aha! — pomyślałem — teraz przestał się śmiać!”

Sletkin schwycił za kołnierz stojącego tuż obok chłopca.

— Włazże, właz, włazcie, diabły! — wył, trzęsąc nim z całej siły. — Ratujcie mój majątek!

Chłop postąpił dwa kroki, zadarł głowę, zamachał rękami, zawołał: „Ej, panie, wielmożny panie!” — podreptał na miejscu i szybko się cofnął.

— Drabinę! Przynieście drabinę! — zwrócił się Sletkin do pozostałych chłopów.

— A skąd ją wziąć? — słychać było w odpowiedzi.

— A nawet gdyby była drabina — rzekł nie śpiesząc się jakiś głos — kto by miał ochotę tam wlaźić? Głupców znaleźli! On ci kark skręci — i to migiem!

— Od razu zabije — rzekł młody, jasnowłosy parobek z głupkowskim wyrazem twarzy.

— A pewnie! — podchwycili pozostali.

Wydało mi się, że chłopcy, nawet gdyby im nie groziło osobiste niebezpieczeństwo, niechętnie

wypełnili by polecenie swojego nowego dziedzica. Pochwalali niemal postępowanie Charłowa, choć dziwiło ich to, co widzieli.

— Ach, wy zbóje — zajęczał Sletkin — zaraz ja tu was wszystkich...

Ale w tej chwili ze straszliwym hałasem runął ostatni komin i wśród obłoków żółtego kurzu, który wzbił się w oka mgnieniu, Charłow, wydając przeszywający krzyk i wysoko podniósłszy okrwawione ręce, zwrócił się ku nam twarzą. Sletkin znów w niego wymierzył.

Eulampia targnęła go za łokieć.

— Nie przeszkadzaj! — krzyknął na nią ze wściekłością.

— A ty, żebyś się nie odważył! — odparła i jej niebieskie oczy groźnie błysnęły spod nasepionych brwi. — Ojciec burzy własny dom. To jego majątek.

— Łżesz, to nasze.

— Ty mówisz — nasze, a ja mówię, że to jego.

Sletkin aż syknął ze złości, Eulampia wbiła mu w twarz spojrzenie.

— Dzień dobry, dzień dobry, miła córeczko! — zagrział z dachu Charłow. — Witaj, Eulampio Martynowno! Jak ci się żyje z twoim przyjacielem? Czy słodko się całujecie, miłujecie?

— Ojczy! — zabrzmiał dźwięczny głos Eulampii.

— Co, córeczko? — odparł Charłow i przysunął się na skraj dachu. Na jego twarzy, o ile mogłem dojrzeć, pojawił się dziwny uśmiech — pogodny, wesoły i dlatego właśnie straszny, zły... W wiele lat potem widziałem taki sam uśmiech na twarzy skazanego na śmierć.

— Przestań, ojczy, zejźdź (Eulampia nie mówiła do niego „ojczulku”). To nasza wina, zwrócimy ci wszystko. Zejźdź.

— A ty dlaczego się za nas rozporządzasz? — wtrącił się Sletkin.

Eulampia tylko groźniej nasepiła brwi.

— Zwrócą ci swoją część — wszystko ci oddam. Przestań, ojczy, zejźdź. Przebacz nam, przebacz mi.

Charłow nie przestawał się uśmiechać.

— Za późno, moja miła — przemówił, a każde jego słowo dźwięczało jak miedź. — Za późno poruszyło się w tobie twoje kamienne serce! Co się stało, to się nie odstanie! Nie patrz teraz na mnie! Jestem zgubiony! Popatrz lepiej na swojego Wołodźkę, widzisz, jaki z niego teraz francik! I popatrz na swoją niegodziwą siostrę — o, to jej lisi nos wysuwa się z okna, to ona podszczuwa swojego mężulka! Nie, łaskawi państwo! Chcieliście mnie pozbawić dachu nad głową, więc i ja z niego nie zostawię nawet jednej całej deski! Własnymi rękami budowałem, własnymi rękami zburzę, gołymi rękami! Widzicie — nawet siekiery nie wziąłem!

Splunął w obie dłonie i znowu chwycił za wiązanie.

— Dość, ojczy — rzekła Eulampia i głos jej stał się jakoś niezwykle łagodny — nie wspominaj o tym, co przeszło. Uwierz mi, zawsze mi wierzyłeś. Zejźdź, przyjźdź do mojej izby, na miękkie łóżko. Będiesz żył u mnie jak u Pana Boga za piecem, będziesz jadł słodko, a spał jeszcze

słodziej. No, cóż! Byliśmy winni! Przyznajemy, zgrzeszyliśmy, przebacz!

Charłow pokiwał głową:

— Bajki prawisz! Już wam nie wierzę! Zabiliście przecie we mnie wiarę! Wszystko we mnie zabiliście! Byłem orłem — a dla was stałem się robakiem... a wy chcieliście zgnieść robaka? Dosyć! Kochałem cię, sama wiesz o tym, ale teraz nie jesteś już dla mnie córką ani ja dla ciebie ojcem... Jestem człowiekiem zgubionym! Nie przeszkadzaj! A ty, strzelajże, tchórze, bohaterze od siedmiu boleści! — warknął nagle Charłow na Sletkina. — Dlaczego wciąż tylko celujesz? Możeś przypomniał sobie ustawę, że gdy przyjmujący dar dokona zamachu na życie ofiarodawcy — wyraźnie i z naciskiem przemówił Charłow — to ofiarodawca ma prawo domagać się zwrotu wszystkiego? Cha—cha, nie bój się, czcicielu prawa! Nie będę się niczego domagał, sam wszystko załatwię... Strzelaj!

— Ojcze! — po raz ostatni rzekła błagalnie Eulampia.

— Milcz!

— Martynie Pietrowiczu! Panie bracie! przebacz wspaniałomyślnie! — wymamlał Suwenir.

— Ojcze, drogi ojcze!

— Milcz, suko! — krzyknął Charłow. Na Suwenira nawet nie spojrzął i tylko splunął w jego kierunku.

XXVII

W tej chwili Kwiciński wraz z całym swoim orszakiem — na trzech wozach — pojawił się w bramie. Znużone konie parskały, ludzie po kolei zeskakiwali w błoto.

— Oho! — zawołał na całe gardło Charłow. — Armia... istna armia! Całą armię przeciwko mnie wystawiają. Dobrze! Ale ostrzegam, kto tu wejdzie do mnie na dach, tego od razu zrzucę na ziemię! Surowy ze mnie gospodarz, gości nie w porę nie lubię!

Uchwycił obiema rękami przednią parę krokwi za tak zwane „nogi” frontonu i zaczął nimi gwałtownie potrząsać; ciągnął jak gdyby krokwią za sobą, miarowo, po burłacku zawodząc: „Jeszcze razik, jeszcze raz! Hej!”

Sletkin podbiegł do Kwicińskiego i zaczął się skarżyć, narzekać... Kwiciński poprosił go, aby mu „nie przeszkadzał”, i przystąpił do wykonania obmyślonego przez siebie planu. Sam stanął przed domem i żeby odwrócić uwagę Charłowa, zaczął mu tłumaczyć, że postępuje nie po szlachecku...

— „Jeszcze razik, jeszcze raz!” — śpiewał Charłow.

...Że Natalia Nikołajewna jest bardzo niezadowolona z jego postępowania i że się tego po nim nie spodziewała...

— „Jeszcze razik, jeszcze raz!” — śpiewał Charłow. Jednocześnie zaś Kwiciński skierował czterech najsilniejszych i najodważniejszych stajennych na przeciwległą stronę domu, polecając im, by z tyłu wleźli na dach. Jednakże Charłow zorientował się w planie ataku, puścił krokwie i

szybko pobiegł na drugą stronę facjaty. Wygląd jego był tak straszny, że dwaj stajenni, którzy zdążyli się już wdrapać na strych, w mgnieniu oka ześliznęli się z powrotem na ziemię po rynnie, ku niemałemu zadowoleniu i radości dworskich chłopców. Charłow pogroził stajennym pięścią i wróciwszy ku przodowi domu znów chwycił za krokwie i znowu zaczął je szarpać, zawodząc burłacką melodię.

Nagle zatrzymał się, rozejrzał się dokoła...

— Maksymuszka! mój przyjacielu — zawołał. — Czy to ty?

Obejrzałem się... Z gromady chłopów wyszedł rzeczywiście hajduk Maksymka i szczerząc zęby w uśmiechu stanął przed domem. Jego majster, rymarz, zwolnił go zapewne na krótki czas do domu.

— Włóż tu do mnie, Maksymuszka, mój wierny sługo! — ciągnął Charłow — będziemy się razem opędzać złym Tatarzynom, złodziejom litewskim!

Maksymuszka, nie przestając się uśmiechać, natychmiast zaczął wlaźć na dach. Ale schwytało go i odciągnięto na bok, Bóg wie dlaczego, chyba dla przykładu. Wielkiej pomocy i tak by Martynowi Pietrowiczowi nie okazał.

— No, dobrze, doskonale! — rzekł Charłow tonem groźby i znów uchwycił za krokwie.

— Wincenty Osipowiczu! Niech mi pan pozwoli wystrzelić — zwrócił się Sletkin do Kwicińskiego — ja przecież tylko tak, żeby go nastraszyć, broń nabita śrutem.

Ale Kwiciński nie zdążył mu nawet odpowiedzieć, gdy przednia para krokwi, rozkołysana stalowymi rękami Charłowa, pochyliła się, zatrzeszczała i runęła na podwórze — a wraz z nią, nie mogąc utrzymać równowagi, runął sam Charłow i ciężko uderzył o ziemię. Wszyscy drgnęli, rozległy się okrzyki przerażenia... Charłow leżał nieruchomo na brzuchu, a w plecy wrzynała mu się podłużna belka szczytowa, kalenica, która runęła wraz z upadającym frontonem.

XXVIII

Ludzie podbiegli do Charłowa, odwalili z niego belkę, obrócili go na wznak; twarz jego była bez życia, na wargach pojawiła się krew, nie oddychał. „Dech z niego wyparło” — wyszeptali stojący opodal chłopci. Pobiegli po wodę do studni, przynieśli pełne wiadro, obleli głowę leżącego, brud i pył zeszły z twarzy, ale nadal nie było widać w niej znaku życia. Przyniesiono ławkę, ustawiono ją tuż koło oficyny i z trudem podnosząc ogromne ciało Martyna Pietrowicza posadzono go, głowę oparłszy mu o ścianę. Hajduczek Maksymka zbliżył się, klęknął na jedno kolano i daleko odsunawszy drugą nogę, teatralnym jakby gestem podtrzymywał rękę swojego byłego pana. Eulampia, blada jak śmierć, stała na wprost ojca wlepiwszy w niego swoje nieruchome, ogromne oczy. Anna ze Sletkinem trzymali się z dala. Wszyscy milczeli, wszyscy na coś czekali. Wreszcie w gardle Charłowa rozległy się urywane, bulgocące dźwięki, jakby Martyn Pietrowicz zachłystywał się wodą. Potem słabo poruszył jedną, prawą ręką (Maksymka podtrzymywał lewą), otworzył jedno — prawe oko i powoli ogarniając spojrzeniem przestrzeń

wokół siebie, zupełnie jakby w okropnym jakimś zamroczeniu po pijaństwie, westchnął boleśnie i sepleniąc wyrzekł: Rozbiłem się... — i dodał jakby po krótkiej chwili namysłu: — to on, wro...ny źre...baczek! — Krew nagle trysnęła mu obficie z ust, ciałem wstrząsnął dreszcz...

„Koniec” — pomyślałem...

Ale Charłow otworzył raz jeszcze, wciąż to samo prawe oko (lewa powieka była nieruchoma jak u nieboszczyka) i wlepiwszy je w Eulampię, wymówił ledwie dosłyszalnym głosem:

— No, córeczko... Nie prze...

Kwiciński gwałtownym skinieniem ręki wezwał popa, który wciąż jeszcze stał na ganku oficyny... Staruszek zbliżył się chwiejnym krokiem, płacząc się w ciasnej sutannie. Ale wtem nogi i brzuch Charłowa drgnęły jakoś ohydnie, po twarzy od góry do dołu przebiegł nerwowy skurcz — dokładnie tak samo wykrzywiła się i zadrgała twarz Eulampii. Maksymka zaczął się żegnać znakiem krzyża... Ogarnął mnie lęk, pobiegłem do bramy i przygnałem do niej nie oglądając się za siebie. Po kilku chwilach za moimi plecami rozległ się cichy gwar i zrozumiałem, że Martyn Pietrowicz umarł.

Ciemię zdruzgotała mu belka, pierś — jak się okazało podczas sekcji zwłok — była roztrzaskana.

XXIX

Co on chciał jej powiedzieć przed śmiercią? — zadawałem sobie pytanie, wracając do domu na moim wierzchowcu. „Nie przeklinam ciebie” czy też „nie przebaczam ci?” Znów zaczął kropić deszczyk, ale jechałem stępa. Miałem ochotę jak najdłużej być sam, pragnąłem bez przeszkód pograć się w moich rozmyślaniach. Suwenir wyruszył do domu na jednym z wozów, które przybyły z Kwicińskim. Choć byłem w owym czasie i młody, i lekkomyślny, jednakże nagła ogólna (nie w samych tylko szczegółach) przemiana, jaką zawsze powoduje we wszystkich sercach nieoczekiwane lub też spodziewane (wszystko jedno!) pojawienie się śmierci, jej uroczystość, powaga i prawda — nie mogły mną nie wstrząsnąć... Toteż byłem wstrząśnięty do głębi... ale zarazem mój dziecinny, strwożony wzrok zauważył przy tym niejedno: zauważył, że Sletkin pośpiesznie i nieśmiało, niby rzecz ukradzioną, odrzucił w bok swoją strzelbę, że i od niego, i od jego żony — od obojga — zaczęto natychmiast, co prawda w milczeniu, ale powszechnie, stronić, że wokół nich stało się pusto... Tej obcości nie okazywano jednakże Eulampii, której wina była zapewne nie mniejsza niż wina jej siostry. Eulampia, gdy przypadła do nóg umarłemu ojcu, wzbudziła nawet pewnego rodzaju współczucie. Ale wszyscy czuli przecie, że i ona była winna. „Skrzywdzili staruszka”, rzekł pewien szpakowaty, wielkogłowy chłop, wsparty niby jakiś starożytny sędzia obiema rękami i brodą na długim kiju. — „Macie grzech na sumieniu! Skrzywdziliście go!”

To słowo „skrzywdzili” zostało natychmiast przyjęte przez wszystkich jak nieodwołalny wyrok. Wyraziło się w tym ludowe poczucie sprawiedliwości, zrozumiałem to od razu.

Zauważyłem także, że w pierwszej chwili Sletkin nie odważył się wydawać jakichkolwiek poleceń. Bez niego podźwignęli ciało i zanieśli je do domu, pop nie pytając Sletkina poszedł do cerkwi po wszystko, co było niezbędne do odprawienia nabożeństwa, starosta zaś pobiegł na wieś, by dowiedzieć się o podwodę do miasta. Nawet Anna Martynowna nie odważyła się zwykłym rozkazującym tonem wydać polecenia, by nastawiono samowar, „aby była ciepła woda do obmycia nieboszczyka”. Jej polecenie brzmiało jak prośba — i odpowiadało jej opryskliwie...

Jednak myśli moje nieustannie zaprzętało pytanie, co właściwie Martyn Pietrowicz chciał powiedzieć swojej córce? Czy chciał jej przebaczyć, czy też ją przekląć? W końcu zdecydowałem, że przebaczyć.

Po trzech dniach odbył się pogrzeb Martyna Pietrowicza na koszt mojej matki, która bardzo zmartwiła się jego śmiercią i poleciła, by nie żałowano wydatków. Sama nie pojechała do cerkwi — dlatego że, jak twierdziła, nie chciała oglądać tych dwóch łajdaczek i tego „podłego żydka”, posłała jednak Kwicińskiego, mnie i Żytkowa, którego od tej pory nie nazywała zresztą inaczej tylko babą! Suwenirowi nie pozwalała pokazywać się na oczy i potem przez długi jeszcze czas była na niego zagniewana, nazywając go mordercą jej przyjaciela. Tę banicję Suwenir odczuwał bardzo dotkliwie; nieustannie na palcach kręcił się po pokoju sąsiadującym z pokojem, w którym znajdowała się moja matka. Wpadał w jakąś trwożną i przykrą melancholię, wzdygał się cały i szeptał: *zyraz!*

W cerkwi i w kondukcie Sletkin wydał mi się znowu „w swojej skórze”. Wydawał polecenia, krzątał się jak dawniej i chciwie pilnował, by nie wydano zbytecznej kopiejki, choć sprawa nie dotyczyła jego kieszeni. Maksymka w nowej, również sprawionej mu przez moją matkę kazakinie wyciągał na chórze takie tenorowe nuty, że nikt już nie mógł powątpiewać o szczerości jego przywiązania do nieboszczyka! Obie siostry były, jak się godzi, w żałobnych strojach — ale wydawały się bardziej zmieszane niż zmartwione, zwłaszcza Eulampia. Anna przybrała wygląd surowy i ascetyczny, zresztą nie usiłowała płakać i tylko nieustannie przesuwiała swoją piękną, szczupłą dłoń po włosach i policzkach. Eulampia wciąż wpadała w zamyślenie. Wydawało mi się, że ta powszechna, nieodwołalna obcość, to potępienie, jakie zauważyłem w dniu śmierci Charłowa, maluje się teraz na twarzach wszystkich ludzi, którzy byli w cerkwi, we wszystkich ich ruchach, w ich spojrzeniach — ale bardziej umiarkowanie i obojętnie. Zdawało się, że ci wszyscy ludzie wiedzieli, iż grzech, w jaki popadła rodzina Charłowa, ów wielki grzech — miał już być teraz rozpatrywany przez jedynego sprawiedliwego sędziego i że wobec tego nie mają już powodu do niepokoju i oburzenia. Gorliwie modlili się za duszę nieboszczyka, którego za życia nie bardzo lubili, a nawet się obawiali. Bo też śmierć jego nastąpiła w okolicznościach już nazbyt okrutnych.

- Gdyby choć, bracie, popijał — mówił w przedśionku cerkiewnym jeden chłop do drugiego.
- I nie pijąc można sobie podchmielić — odpowiedział zagadnięty. — To zależy od wypadku.
- Pokrzywdzili go — powtórzył pierwszy rozstrzygające słowo.

— Pokrzywdzili — powtórzyli za nim inni.

— A przecież nieboszczyk sam was krzywdził? — spytałem jednego z nich, w którym poznałem chłopą należącego do Charłowa.

— Dziedzic był, wiadomo — odparł chłop — a jednak... pokrzywdzili go!

— Pokrzywdzili... — rozległo się znowu w tłumie.

Nad grobem Eulampia stała również jakby osowiała i roztargniona. Ogarnęła ją zaduma... głęboka zaduma. Zauważyłem, że wobec Sletkina, który kilkakrotnie się do niej zwrócił, zachowywała się tak jak dawniej wobec Żytkowa — a nawet jeszcze gorzej.

W kilka dni później w naszej okolicy rozeszła się wieść, że Eulampia Martynowna na zawsze porzuciła dom ojcowski, pozostawiając siostrze i szwagrowi cały swój otrzymany w spadku majątek i biorąc ze sobą tylko kilkaset rubli... — Widać Anna ją spłaciła! — zauważyła moja matka — tylko — dodała zwracając się do Żytkowa, z którym grała w pikietę (Żytkow zastąpił Suwenira!) — oboje mamy niezgrabne ręce!

Żytkow ponuro spojrział na swoje silne dłonie.....Moje ręce niezgrabne?!” — zdawał się myśleć...

Wkrótce potem przenieśliśmy się wraz z mamą na stałe do Moskwy i wiele lat upłynęło, nim znów ujrzałem obie córki Martyna Pietrowicza.

XXX

A jednak zobaczyłem je znowu. Z Anną Martynowną spotkałem się w najzwyczajniejszy sposób. Odwiedzwszy po śmierci mojej matki naszą wieś, do której nie zajeżdżałem od przeszło piętnastu lat, otrzymałem zaproszenie od pełnomocnika (wówczas w całej Rosji z niezapomnianą do dziś powolnością odbywało się ustalanie granic rozrzuconych gruntów poszczególnych majątków ziemskich), otrzymałem zaproszenie na konferencję z pozostałymi właścicielami naszej wioski — zebranie to miało się odbyć w majątku wdowy Anny Sletkin. Przyznaję, że wiadomość, iż mamini „żydek” z oczami podobnymi do czarnych śliwek nie egzystuje już na tym świecie, wcale mnie nie zmartwiła, za to bardzo byłem ciekawy przypatrzeć się wdowie. Słyszała w okolicy jako najznakomitsza gospodyni. I rzeczywiście — jej gospodarstwo i folwark, i sam dwór (mimo woli spojrziałem na dach — był pokryty blachą), wszystko okazało się w idealnym porządku, wszystko było czyste, schludne, uprzątnięte, gdzie trzeba świeżo wymalowane, niczym u Niemki. Sama Anna Martynowna, oczywiście, postarzała się, ale miała jeszcze w sobie ten osobliwy, surowy i jakby zły urok, który niegdyś tak na mnie podziałał. Była odziana po wiejsku, ale wykwintnie. Przyjęła nas serdecznie — to słowo nie zgadzało się z jej postacią — uprzejmie, a na mój widok, choć byłem przecież świadkiem owego strasznego wydarzenia, nawet nie drgnęła jej powieka. Nie zająknęła się nawet słowem o mojej matce ani o siostrze, ani o mężu — zupełnie jakby nabrała wody w usta.

Miała dwie córki, obie prześliczne, postawne, z miłymi twarzyczkami, z wesołym i łagodnym

wyrazem czarnych oczu. Miała także syna, który stawał się nieco podobny do ojca, też chłopak na schwał! Podczas dyskusji, która toczyła się między właścicielami, Anna Martynowna zachowywała się spokojnie, z godnością, nie okazując ani szczególnego uporu, ani też szczególnej dbałości o własną korzyść. Ale też nikt lepiej od niej nie zdawał sobie sprawy z własnej korzyści i nie potrafił w sposób bardziej przekonujący wysuwać i bronić swoich praw; wszelkie „odpowiednie” ustawy a nawet okólniki ministerialne były jej dobrze znane, mówiła niewiele, głosem cichym, ale każde jej słowo trafiało w sedno sprawy. Skończyło się na tym, iż wyraziliśmy zgodę na wszystkie jej żądania i poczyniliśmy takie ustępstwa, że mogło to wywołać zdziwienie. W powrotnej drodze bracia ziemianie aż sami sobie wymyślali, wszyscy postękiwali i potrząsali głowami.

— Ale mądra baba! — mówił jeden.

— Przebiegła szelma! — wmieszał się inny, mniej delikatny właściciel — miękko ściele, a twardo spać!

— I w dodatku skąpiradło! — dodał trzeci — kieliszek wódki i ziarenko kawioru na człowieka, do czego to podobne!

— Czego się można po niej spodziewać? — rzucił nagle jeszcze inny, dotąd milczący ziemianin — przecież wszyscy wiedzą, że otruła swojego męża.

Ku mojemu zdziwieniu nikt nie uważał za stosowne, by sprostować takie straszne, z pewnością niczym nie umotywowane oskarżenie! Zdziwiło mnie to tym bardziej, że mimo zacytowanych przeze mnie obraźliwych odezwań się szacunek dla Anny Martynowny czuli wszyscy, nie wyłączając niedelikatnego ziemianina. Co się zaś tyczy pełnomocnika — to ten wykrzyknął z patosem:

— Gdyby zasiadła na tronie, to byłaby istna Semiramida albo Katarzyna Druga! Co za głowa! Jaki rozum!

Pominąwszy porównanie z Semiramidą i Katarzyną nie ulegało jednak wątpliwości, że Anna Martynowna wiodła życie bardzo szczęśliwe. Po prostu aż promieniowało z niej, z jej rodziny, z całego jej życia zewnętrzne i wewnętrzne zadowolenie, przyjemny spokój, jaki daje duchowe i cielesne zdrowie. Czy zasłużyła na to szczęście — to już inne zagadnienie. Zresztą podobne pytania stawia się tylko w młodości. Wszystko w świecie, i złe, i dobre, spada na człowieka nie wedle jego zasług, lecz wedle jakichś nie znanych jeszcze, ale logicznych praw, których nie podejmuję się nawet wskazać, choć niekiedy wydaje mi się, że je przeczuwam niewyraźnie i mgliście.

XXXI

Zasięgnąłem od pośrednika wiadomości o Eulampii Martynownie i dowiedziałem się, że od chwili, gdy opuściła dom, znikła bez śladu — „zapewne teraz od dawna już uleciała w niebieskie sfery”.

Tak wyraził się nasz pośrednik... ale jestem przekonany, że widziałem Eulampię, że ją spotkałem. Oto jak się to stało:

W cztery lata po moim spotkaniu z Anną Martynowna osiedliłem się na lato w Murinie, niewielkiej wiosce koło Petersburga, dobrze znanej letnikom ze średniej sfery. Polowania w okolicach Murina były w owych czasach zupełnie niezłe, więc włączyłem się ze strzelbą po polach niemal codziennie. Miałem kolegę, niejakiego Wikułowa, który pochodził z mieszczan, był to chłopiec niegłupi i poczciwy, ale, jak sam o sobie mawiał, zupełnie zmarnowany. Gdzie też nie bywał ten człowiek i czego tylko nie robił! Nic go nie mogło zadziwić, wszystko znał — ale lubił jedynie polowanie i wypitkę. Pewnego razu wracaliśmy razem do Murina i wypadło nam iść koło samotnego domu, stojącego na skrzyżowaniu dwóch dróg i ogrodzonego wysokim, gęstym parkanem. Dom ten widziałem nie po raz pierwszy i za każdym razem wzbudzał moją ciekawość. Było w nim coś tajemniczego, skrytego, ponuro-niemego, coś, co przypominało więzienie lub szpital. Z drogi można było dojrzeć jedynie jego spadzisty, na ciemno pomalowany dach. W całym parkanie była tylko jedna brama i ta wydawała się zamknięta na głucho. Nigdy spoza niej nie było słycać żadnego dźwięku. Mimo wszystko czuło się jednak, że w tym domu niezawodnie ktoś mieszka: wcale nie czynił wrażenia zapuszczonego domostwa. Przeciwnie — wszystko w nim było tak mocne, trwałe i krzepkie, że dom mógłby wytrzymać choćby oblężenie!

— Cóż to za twierdza? — spytałem mojego towarzysza. — Nie wie pan?

Wikułow uśmiechnął się chytrze:

— Dziwny budynek, co? Tutejszy sprawnik ma z niego niezły dochód!

— Jak to?

— A tak. Słyszał pan pewnie o sekcie biczowników — odszczepieńców, o tych, co to żyją bez popów?

— Słyszałem.

— No, więc tu właśnie przebywa ich matka przełożona.

— Kobieta?

— Tak — matka. Według nich — bogurodzica.

— Co pan mówi?

— Ależ tak. Mówią, że surowa... Istny komendant! Kieruje tysiącami ludzi! Ja to bym te wszystkie bogurodzice... Ale co tam!

Zawołał swojego Piegaszkę, niezwykłego psa, obdarzonego nadzwyczajnym węchem, ale bez jakiegokolwiek pojęcia o wystawianiu zwierzyny. Wikułow musiał podwiązywać mu tylną łapę, aby przestał tak wściekle biegać.

Słowa Wikułowa wryły mi się głęboko w pamięć. Naumyślnie skręcałem niekiedy w boczną drogę, aby przejść koło tajemniczego domu. I oto pewnego razu przechodziłem tamtędy, gdy nagle — o dziwo! szcęknęła zasuwa bramy, klucz zazgrzytał w zamku, potem powoli rozchyliły się wrota, ukazał się potężny łeb koński z grzywą zaplecioną pod malowaną dugą i na drogę

zwolna wytoczyła się niewielka furmanka w rodzaju tych, jakimi jeżdżą przekupnie i kawalatorzy pochodzący ze stanu kupieckiego. Na skórzanej poduszce furmanki, bliżej mnie, siedział mężczyzna w wieku lat trzydziestu, niezwykle piękny, o szlachetnej powierzchowności, w schludnym, czarnym kaftanie, w nisko nasuniętym na czoło czarnym kapiszonie; mężczyzna z godnością kierował odkarmionym, szerokim jak piec koniem; obok mężczyzny, po drugiej stronie furmanki, siedziała kobieta wysokiego wzrostu, prosta jak trzcina. Jej głowę okrywał czarny, kosztowny szal, ubrana była w krótki, aksamitny kaftan barwy oliwkowej i w ciemnogrnatową, merynosową spódnicę. Białe ręce, złożone poważnym gestem na piersiach, podtrzymywały się wzajemnie. Furmanka skręciła w lewo i kobieta znalazła się o dwa kroki przede mną. Z lekka poruszyła głowę — i poznałem Eulampię Charłową. Poznałem ją natychmiast, ani przez chwilę nawet się nie wahałem, zresztą nie można się było zawahać: takich oczu jak jej, a zwłaszcza takiego układu warg, wyniosłego i zmysłowego, nie widziałem u nikogo. Twarz jej wydłużyła się i wychudła, cera pociemniała, gdzieś widać było zmarszczki, ale zmienił się zwłaszcza wyraz tej twarzy! Trudno wysłować, jak bardzo stał się surowy, twardy, hardy, świadczący o pewności siebie! Z każdego rysu tej twarzy promieniował nie ów spokój, jaki daje zazwyczaj ludziom posiadanie władzy, lecz przesyta władzą. W niedbałym spojrzeniu, którym mnie obrzuciła, widać było, że od dawna już przywykła spotykać się jedynie z lękliwą, bezgraniczną pokorą. Ta kobieta żyła otoczona z pewnością nie wielbicielami, lecz niewolnikami i na pewno zapomniała już o tym okresie swojego życia, gdy którekolwiek z jej poleceń mogłoby nie zostać natychmiast spełnione. Głośno wypowiedziałem jej imię; drgnęła ledwo dostrzegalnie, spojrzała na mnie powtórnie, nie z lękiem, lecz z pogardliwym gniewem, jak gdyby mówiła — któż to ośmiela się mnie niepokoić? — i nie poruszając prawie wargami wydała, jakieś polecenie. Siedzący obok niej mężczyzna ocknął się nagle, z rozmachem uderzył konia lejcami — koń ruszył szybkim truchtem i furmanka znikła w oddali.

Od tej pory nie spotkałem już Eulampii. W jaki sposób córka Martyna Pietrowicza stała się bogurodzicą biczowników — tego nawet sobie wprost nie potrafię wyobrazić, ale kto wie, może założyła sektę, która przyjmie, a może już przyjęła nazwę od jej imienia? Wszystko bywa, wszystko się zdarza na świecie.

Oto, co miałem wam do opowiedzenia o moim stepowym królu Lirze, o rodzinie jego i uczynkach.”

Opowiadający umilkł, a my porozmawialiśmy jeszcze chwilę i rozeszliśmy się każdy do siebie, do domu.

Weimar, 1870 r.